

**GEORGES SIMENON**

# **ŻÓŁTY PIES**

**TYTUŁ ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO LE CHIEN JAUNE  
PRZEŁOŻYŁ PIOTR LEWINSKI**

# I

## BEZPAŃSKI PIES

Piątek, 7 listopada. Ulice Concarneau opustoszały. Widoczny ponad murem obronnym podświetlany zegar na starym mieście wskazuje za pięć jedenastą.

Jest pełnia przyływu, sztorm południowo–zachodni. Stojące w porcie barki uderzają o siebie burtami. Wiatr wdziera się w uliczki, porywa kawałki papieru i pędzi je we wszystkie strony tuż nad ziemią.

Na bulwarze l’Aiguillon panuje ciemność. Wszystko pozamykane. Wszyscy śpią. Tylko w trzech oknach hotelu „Amiral”, tuż przy rynku, palą się jeszcze światła.

Okiennice nie są zamknięte, ale przez zielonkawę szyby ledwo można dostrzec sylwetki. To zapóźnieni goście w kawiarni. Celnik na warcie, skulony w swojej budce sto metrów dalej, spogląda na nich z zazdrością.

Naprzeciw, w basenie portowym, kabotażowiec, który schronił się tam przed południem. Nikogo na pokładzie. Zgrzytają bloczki, źle zwinięty fok trzaska na wietrze. Z dala dobiega łoskot przyboju, stuka zapadka zegara, który zaraz zacznie wybijać jedenastą.

Drzwi hotelu „Amiral” otwierają się. Ukazuje się jakiś mężczyzna, chwilę rozmawia przez szparę z gośćmi siedzącymi w środku. Gwałtowny wiatr szarpie połami jego płaszcz, zrywa mu z głowy melonik, który on chwytą w porę. Idzie przed siebie przytrzymując kapelusz na ‘głowie.

Nawet z dala widać, że podśpiewuje wesoło pod nosem i kiepsko trzyma się na nogach. Celnik spogląda za nim, uśmiecha się, gdy tamten z pijackim uporem usiłuje zapalić cygaro. Rozpoczyna się komiczna walka między pijakiem, wrywającym mu przez wicher płaszczem i kapeluszem, który chce pomknąć wzdłuż chodnika. Wiatr gasi po kolei dziesięć zapalek.

Nagle mężczyzna w meloniku dostrzega dwa schodki przed progiem domu, chowa się za nimi, pochyla. Błysnął płomyk, ale tylko na moment. Amator palenia chwieje się, zaczepia o gałkę u drzwi.

Czy celnik nie usłyszał wśród wycia wichru dziwnego hałasu? Nie jest tego pewny. WybuCHA śmiechem widząc, jak nocny hulaka traci równowagę i robi kilka kroków w tył, pochylony w zupełnie niewyobrażalny sposób.

Rozłożył się jak długi na skraju chodnika, z głową w błocie rynsztoka. Celnik zabija z zimna rękę i spogląda z rozdrażnieniem na fok, którego trzaskanie działa mu na nerwy.

Upływa minuta, dwie. Kolejne spojrzenie na leżącego wciąż bez ruchu pijaka. Obwąchuje go teraz pies, który nie wiadomo skąd się wziął.

— Dopiero w tym momencie odniosłem wrażenie, że coś się musiało stać — powie celnik w czasie śledztwa.

\*

Trudno jest ustalić w porządku ściśle chronologicznym wydarzenia, które nastąpiły po tej scenie. Celnik podchodzi do leżącego mężczyzny, trochę uspokojony obecnością psa, wielkiej, groźnie wyglądającej bestii z żółtą sierścią. Osiem metrów dalej pali się latarnia gazowa. Z początku funkcjonariusz nie widzi nic niezwykłego, potem spostrzega, że w płaszczu pijaka jest dziura i sączy się przez nią gęsta ciecz.

Biegnie do hotelu „Amiral”. Kawiarnia jest prawie pusta. Kelnerka wspiera się łokciami o kasę. Przy jednym ze stolików dwaj mężczyźni, przechyleni do tyłu z wyciągniętymi przed siebie

nogami, dopalają cygara.

— Szybko! Morderstwo... Nie wiem...

Celnik odwraca się. Żółty pies wszedł tuż za nim i położył się u stóp kelnerki. Wahanie, niejasna obawa w powietrzu.

— Przyjacieli panów, ten, co przed chwilą wyszedł...

Wkrótce potem wszyscy pochylają się nad ciałem, które nie zmieniło pozycji. Merostwo, gdzie mieści się posterunek policji, jest tuż obok. Celnik nie czeka bezczynnie. Biegnie tam, a potem, dysząc, zaczyna dobijać się do drzwi domu lekarza.

— Chwiał się, pochylony do tyłu jak pijak, zrobił w ten sposób przynajmniej trzy kroki... — powtarza w kółko, nie mogąc zapomnieć tamtego widoku.

Pięciu ludzi... sześciu... siedmiu... Tu i tam otwierają się okna, dobiegają szepty.

— Kula wystrzelona prosto w brzuch z bardzo małej odległości. Trzeba natychmiast operować. Niech ktoś zadzwoni do szpitala... — mówi klęczący w błocie lekarz.

Wszyscy rozpoznali rannego: pan Mostaguen, główny handlarz win w Concarneau, poczciwy grubas, powszechnie lubiany.

Dwaj mundurowi policjanci — jeden z nich zapomniał założyć kepi — nie bardzo wiedzą, jak się zabrać do śledztwa.

Ktoś coś mówi. To pan Le Pommeret; jego głos i zachowanie zdradzają miejscowego notabla.

— Rozegraliśmy razem partyjkę w karty, w kawiarni „Amiral”, z Servières’em i doktorem Michoux... Doktor wyszedł pierwszy, jakieś pół godziny temu. Mostaguen, który boi się żony, opuścił nas nagle o jedenastej...

Tragikomiczna sytuacja. Wszyscy słuchają Le Pommereta. Zapomniano zupełnie o rannym, który nagle otwiera oczy i usiłuje się podnieść, mrużąc coś zdziwionym głosem, tak łagodnym i cichym, że kelnerka wybucha nerwowym śmiechem.

— Co się dzieje?

Nagle wstrząsa nim spazm, wargi mu drżą, mięśnie twarzy kurczą się. Lekarz przygotowuje strzykawkę, by zrobić zastrzyk. Żółty pies kręci się pod nogami.

— Co to za kundel? — dziwi się ktoś.

— Pierwszy raz go widzę.

— To chyba pies ze statku...

W tej dramatycznej atmosferze pies ma w sobie coś niepokojącego. Może sprawia to brudnożółty kolor sierści? Jest wysoki i bardzo chudy, a jego wielki łeb przypomina jednocześnie brytana i doga niemieckiego.

Pięć metrów od tej grupy policjanci przesłuchują celnika, który był jedynym świadkiem wypadku.

Patrzą na schodki przed progiem prowadzące do wielkiego mieszczkańskiego domu z pozamykanymi okiennicami. Na prawo od wejścia ogłoszenie notarialne informuje o przetargu nieruchomości w dniu 18 listopada. „Cena wywoławcza: 80000 franków...”

Posterunkowy długo szamocze się z drzwiami, nie może wyłamać zamka. Przychodzi mu z pomocą właściciel garażu z sąsiedztwa, podważa zamek śrubokrętem.

Przyjeżdża karetka pogotowia. Kładą Mostaguena na noszach. Ciekawscy mogą już tylko gapić się na pusty dom.

Od roku był nie zamieszkanym. W korytarzu unosi się ciężki zapach kurzu i tytoniu. W świetle latarki widać ślady błota i popiół z papierosa świadczące o tym, że ktoś sterczał tam dość długo za drzwiami.

Jakiś mężczyzna w płaszczu narzuconym na pizamę mówi do żony:

— Chodźmy! Nie ma tu już nic do oglądania. Reszty dowiemy się jutro z gazety. Jest tu pan

Servières...

Servières, niski korpulentny jegomość w szarobeżowym palcie, który siedział wraz z Le Pommeretem w kawiarni „Amiral”, jest redaktorem w „Le Phare de Brest”, gdzie publikuje między innymi ciekawą i humorystyczną kronikę tygodnia.

Sporządza teraz notatki i daje obu policjantom wskazówki, które brzmią jak rozkazy.

W budynku wszystkie drzwi korytarzowe są zamknięte na klucz, z wyjątkiem tych, które prowadzą do ogrodu. Ogród otoczony jest murem nie wyższym niż półtora metra, po jego drugiej stronie biegnie wąska uliczka wychodząca na bulwar l’Aiguillon.

— Morderca uciekł tamtędy — orzeka Jean Servières.

\*

Dopiero następnego dnia udało się Maigretowi ustalić z grubsza przebieg opisanych wyżej wydarzeń. Miesiąc wcześniej przydzielono go do Lotnej Brygady w Rennes, gdzie reorganizowano niektóre służby. Zatelefonował do niego zaniepokojony mer Concarneau.

Maigret przyjechał do miasta w towarzystwie inspektora Leroy, z którym nie zdarzyło mu się dotychczas pracować.

Sztorm szalał nadal. Porywisty wiatr rwał wiszące nad miastem ciężkie chmury, z których lały się na ziemię strumienie lodowatego deszczu. Żaden statek nie wyszedł z portu. Mówiono, że jakiś parowiec miał kłopoty na pełnym morzu w pobliżu wysp Glenan.

Maigret zatrzymał się naturalnie w hotelu „Amiral”, najlepszym w mieście. Była piąta po południu i właśnie zapadał zmrok, gdy wszedł do kawiarni, długiej, dość ponurej sali z marmurowymi stolikami i szarą podłogą wysypaną wiórami. Zielone szyby w oknach pogłębiały posępne wrażenie.

Kilka stolików było zajętych, ale od razu rzucił się w oczy stół stałych bywalców, poważnych gości, których rozmowie przysłuchiwali się pozostali obecni. ‘ Właśnie od tego stolika wstał mężczyzna z lalkowatą twarzą, zaokrąglonymi oczami i przyklejonym do warg uśmiechem.

— Komisarz Maigret? Mój przyjaciel mer uprzedził mnie o pana przyjeździe... Wiele o panu słyszałem. Pozwoli pan, że się przedstawię... Jean Servières... Hmm, pan z Paryża, prawda? Ja także! Byłem przez długi czas dyrektorem Vache — Rousse na Montmartrze... Współpracowałem z „Le Petit Parisien”, „Excelsiorem”, „LaDepeche”... Znałem dobrze jednego z pana szefów, Bertranda, poczciwiec przeszedł na emeryturę w zeszłym roku i uprawia ogródek w Nievre... A ja zrobiłem to samo! Wycofałem się, że tak powiem, z życia publicznego. Współpracuję dla rozrywki z „Le Phare de Brest”... — mówił podrygując i gestykulując. — Proszę tutaj, przedstawię panu nasz stół, ostatnią kompanię hulaków w Concarneau... Oto Le Pommeret, niepoprawny uwodziciel, posiadacz obligacji państwowych i wicekonsul Danii.

Mężczyzna, który wstał i wyciągnął rękę, nosił strój wiejskiego dżentelmena: kraciaste spodnie do konnej jazdy, obcisłe getry bez śladu błota, krawat — plastron z białej piki. Miał piękne srebrzyste wąsy, gładko zaczesane włosy, jasną cerę i policzki usiane różowym trądzikiem.

— Bardzo mi miło, komisarzu... Jean Servières ciągnął dalej:

— Doktor Michoux... Syn byłego deputowanego... Jest zresztą lekarzem tylko na papierze, nigdy nie praktykował. Zobacz pan, że w końcu sprzeda panu parcelę. Jest właścicielem najpiękniejszej posesji w Concarneau, może nawet w całej Bretanii.

Chłodna dłoń. Szczupła, pociągła twarz, haczykowaty nos. Rude, przeredzone już włosy, choć nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat.

— Czego się pan napije?

W tym samym czasie inspektor Leroy poszedł zasięgnąć języka w merostwie i żandarmerii.

Panująca w kawiarni atmosfera wydawała się, nie wiadomo dlaczego, szara i bezbarwna. Przez otwarte drzwi można było dojrzeć salę jadalną, gdzie kelnerki w bretońskich strojach nakrywały stoły do kolacji.

Spojrzenie Maigreta opadło na leżącego tuż przy kasie żółtego psa. Komisarz uniósł oczy i dostrzegł czarną spódnicę, biały fartuszek i twarz dziewczyny: nieładną, ale tak ujmującą, że nie przestał jej obserwować w czasie rozmowy, która potem nastąpiła.

Za każdym razem, gdy odwracał głowę, napotykał gorączkowe, wbite w siebie spojrzenie kelnerki.

\*

— Gdyby nie to, że biedny Mostaguen, największy pocziwiec na świecie, który panicznie boi się nawet własnej żony, omal nie przyplącił tego życiem, przysięgłbym, że to jakaś farsa w nie najlepszym guście — mówił Jean Servières.

Le Pommeret zawołał poufale:

— Emmo!...

Dziewczyna podeszła do stolika.

— Co podać?

Na stoliku stały opróżnione półlitrowe szklanki.

— To pora aperitifu! — zauważył dziennikarz. — Słowem, czas na pernod... Emmo, pernod dla wszystkich... Dobrze, komisarzu?

Doktor Michoux z uwagą spoglądał na swój guzik przy mankiecie.

— Któż mógł przewidzieć, że Mostaguen zatrzyma się na progu, żeby zapalić cygaro? — ciągnął donośnym głosem Servières. — Nikt, prawda? Przecież Le Pommeret i ja mieszkamy na drugim końcu miasta. Nie przechodzimy obok tego pustego domu. O tej porze tylko my trzej mogliśmy być na ulicy. Mostaguen nie jest człowiekiem, który miewa wrogów... Pocziwa dusza. Jedyna jego ambicja to dostać kiedyś Legię Honorową.

— Operacja się udała?

— Wyjdzie z tego... A najśmieszniejsze, że żona zrobiła mu w szpitalu scenę. Jest przekonana, że to jakaś historia miłosna! Coś takiego! Biedaczek nie ośmieliłby się nawet dotknąć swojej sekretarki, byle nie narobić sobie kłopotów.

— Podwójną — powiedział Le Pommeret kelnerce, która nalewała im właśnie anyżówkę. — Emmo, przynieś lodu...

Goście wychodzili, zbliżała się pora kolacji. Gwałtowny i poryw wiatru, który wtargnął przez otwarte drzwi, poruszył obrusami w jadalni.

— Proszę przeczytać tekst, który napisałem na ten temat, przeanalizowałem wszystkie, jak sądzę, hipotezy. Jest tylko jedna możliwa do przyjęcia: to sprawka szaleńca... Znamy tu wszystkich, ale nie mamy pojęcia, kto to mógł być. Przychodzimy tu co wieczór... Czasami mer wpada na partyjkę... Albo Mostaguen... Niekiedy na czwartego do brydża zapraszamy zegarmistrza, który mieszka kilka domów dalej...

— A ten pies? Dziennikarz rozłożył ręce.

— Nikt nie wie, skąd się wziął... Z początku sądzono, że należy do kabotażowca, który wpłynął tu wczoraj... „Sainte-Marie”... Ale chyba nie. Mają wprawdzie psa na pokładzie, ale to nowofundlandczyk, a niech mi kto powie, jakiej rasy jest ta żółta bestia.

Nie przestając mówić ujął karafkę i dołał wody do szklanki Maigreta.

— Od jak dawna ta dziewczyna tu pracuje? — spytał półgłosem komisarz.

— Od lat...

— Nie wychodziła wczoraj wieczorem?

— Nie ruszała się stąd. Czekala, aż wyjdziemy, by się położyć. Wspominaliśmy z Le Pommeretem dawne czasy, dawne dobre czasy, gdy byliśmy jeszcze dość piękni, by zdobywać kobiety bez pieniędzy. Prawda, Le Pommeret? Nic nie mówi! Gdyby znał go pan lepiej, wiedziałby pan, że potrafi się zabawić. Wie pan, jak nazywamy jego dom naprzeciw hali rybnej? Dom bezceństw! Tak, tak!

— Pana zdrowie, komisarzu — powiedział nie bez zażenowania ten, o którym była mowa.

W tym momencie Maigret zauważył, że doktor Michoux, który prawie się dotąd nie odzywał, pochylił się, by obejrzeć pod światło swoją szklankę. Zmarszczył czoło, a na jego bladej twarzy malował się wyraz przejmującego niepokoju.

— Chwileczkę! — rzucił nagle po długiej chwili wahania. Przybliżył szklankę do nosa, umoczył palec, dotknął go lekko czubkiem języka.

Servières wybuchnął głośnym śmiechem.

— No proszę! I kto tu dał się zastraszyć wypadkiem Mostaguena?

— No i co? — spytał Maigret.

— Chyba lepiej nie pić... Emmo, sprowadź tu aptekarza, mieszka obok. Nawet jeśli je kolację...

Powiało chłodem. Sala wydawała się jeszcze bardziej pusta i ponura. Le Pommeret nerwowo szarpał wąsy. Nawet dziennikarz kręcił się niespokojnie na krześle.

— Co podejrzewasz?

Doktor wpatrywał się posepnie w swoją szklankę. Potem wstał, wyjął ze stojącego przy ścianie barku butelkę pernod i wstrząsnął nią pod światło. Maigret dostrzegł kilka białych granulek unoszących się w cieczy.

Kelnerka wróciła w towarzystwie aptekarza, który przelykał pospiesznie ostatnie kęsy.

— Niech pan słucha, Kervidon. Musi pan natychmiast zrobić analizę zawartości tej butelki i szklanek.

— Dzisiaj?

— Natychmiast!

— Jakie próby zastosować? Czego się pan spodziewa?

Nigdy jeszcze Maigret nie widział, by tak szybko padł na ludzi bladej cieni strachu. Wystarczyło kilka chwil. W spojrzeniach nie było już blasku. Różowy trądzik na białych policzkach Le Pommereta wyglądał zupełnie nienaturalnie.

Kelnerka oparła się łokciami o kasę i pośliniwszy ołówek wypisywała kolumnę cyfr w obłożonym w czarną ceratę notesie.

— Oszalałeś! — rzucił niepewnie Servières.

Zabrzmiało to fałszywie. Aptekarz stał trzymając butelkę w jednej, a szklankę w drugiej ręce.

— Strychnina... — wyszeptał doktor.

Wypchnął aptekarza na ulicę i wrócił, poślizgnięty, ze zwieszoną głową.

— Skąd to panu przyszło na myśl? — spytał Maigret.

— Nie wiem... Przypadek... Dostrzegłem w swojej szklance białe ziarenka... Zapach też był dziwny...

— Zbiorowa autosugestia! — orzekł dziennikarz. — Gdybym opowiedział to jutro w redakcji, doprowadziłbym do ruiny wszystkie bistra w Finistere.

— Zawsze panowie piją pernod?

— Co wieczór przed kolacją... Emma tak do tego przywykła, że przynosi go nam, gdy tylko zobaczy, że nasze szklanki od piwa są puste. Mamy swoje przyzwyczajenia. Wieczorem pijamy calvados...

Maigret przystanął przed barkiem z trunkami, dostrzegł butelkę calvadosu.

— Nie ta. Tamta pękata flaszka.

Podniósł butelkę, wstrząsnął pod światło. Dostrzegł kilka białych ziarenek, ale nic nie powiedział. Nie było potrzeby. Tamci zrozumieli.

Wszedł inspektor Leroy i oznajmił obojętnym głosem:

— Żandarmi nie zauważyli nic podejrzanego. Żadnych włóczęgów w okolicy. Trudno zrozumieć...

Zdziwiła go panująca wokół cisza, ciężki niepokój, który chwycił za gardło. Kłęby dymu tytoniowego przesłaniały światło lamp, zielone sukno stołu bilardowego wyglądało jak przystrzyżony trawnik. Na podłodze, wśród wiórów, niedopałki cygar, gdzieś plwociny.

— ...Siedem, jeden w pamięci... — sylabizowała Emma śliniąc ołówek. Uniósłszy głowę krzyknęła w stronę kuchni: — Już idę, proszę pani.

Maigret nabijał fajkę. Doktor Michoux wbił wzrok w podłogę, a jego nos wydawał się jeszcze bardziej haczykowaty. Buty Le Pommereta lśniły, jakby pierwszy raz miał je na nogach. Jean Servières prowadził sam ze sobą milczący dialog, wzruszając od czasu do czasu ramionami.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na aptekarza, który wracał z butelką i pustą szklanką. Biegł, brakło mu tchu. W drzwiach zamachnął się nogą, jakby chciał kogoś odpędzić, i mruknął:

— Wstrętne bydlę.

Ledwo wszedł do środka, rzucił:

— To żart, prawda?... Nikt tego nie pił?

— I co?

— Tak, to strychnina. Wsypano ją do butelki najwyżej pół godziny temu.

Patrzył z przerażeniem na pięciu mężczyzn i pełne szklanki.

— Co to ma znaczyć? To niesłychane! Mam chyba prawo wiedzieć? Tej nocy tuż koło mojego domu postrzelono człowieka... A dzisiaj...

Maigret wyjął mu z ręki butelkę. Emma wróciła obojętna i znów nad kasą ukazała się jej pociągła twarz, podkrążone oczy, wąskie wargi, jej źle uczesane włosy, z których uparcie ześlizgiwał się na lewo bretoński czepek, choć poprawiała go co chwila.

Le Pommeret chodził tam i z powrotem wielkimi krokami obserwując odbłaski na swoich butach. Jean Servières, który wpatrywał się bez ruchu w szklanki, wybuchnął nagle tłumiąc spazm przerażenia:

— Do pioruna!

Doktor wzruszył ramionami.

## II

### DOKTOR W RANNYCH PANTOFLACH

Inspektor Leroy, mężczyzna dwudziestopięcioletni, przypominał raczej tak zwanego dobrze wychowanego młodzieńca niż inspektora policji.

Niedawno ukończył szkołę policyjną i była to jego pierwsza sprawa. Od kilku chwil obserwował Maigreta ze strapionym wyrazem twarzy, usiłując dyskretnie zwrócić na siebie jego uwagę. W końcu wyszeptał zarumieniony:

— Przepraszam, panie komisarzu... Ale... odciski palców...

Pomyślał pewnie, że jego szef, jako policjant starej szkoły, lekceważy naukowe metody prowadzenia śledztwa, bo Maigret bąknął zaciągając się fajką:

— Proszę bardzo...

Inspektor Leroy nie pokazał się już więcej. Zabrawszy ostrożnie butelkę i szklanki udał się do swego pokoju, gdzie spędził cały wieczór opakowując je według noszonego w kieszeni schematu, by odciski palców nie uległy zatarciu w czasie transportu.

Maigret siedział w kącie kawiarni. Właściciel hotelu, w białej bluzie i czapce kucharskiej, lustrował swój zakład takim wzrokiem, jakby oceniał szkody wyrządzone przez cyklon.

Aptekarz perorował. Z ulicy dochodziły jakieś szepty. Jean Servières pierwszy założył kapelusz i skierował się do wyjścia mówiąc:

— Na dziś wystarczy. Wracam do domu. Pani Servières czeka na mnie. Do zobaczenia, komisarzu...

Le Pommeret dał mu znak, by jeszcze nie wychodził.

— Zaczekaj! Ja też pójdę na kolację. Zostajesz, Michoux?

Doktor odpowiedział tylko wzruszeniem ramion. Aptekarz usiłował nadal grać pierwszoplanową rolę. Maigret usłyszał, jak mówi do właściciela:

— ...I trzeba oczywiście przeprowadzić analizę zawartości wszystkich butelek. Jest tu przecież ktoś z policji... Jeżeli tylko otrzymam takie polecenie...

W barku było ponad sześćdziesiąt butelek rozmaitych aperitifów i likierów.

— Co pan o tym sądzi, komisarzu?

— Dobry pomysł... Tak, ostrożność nie zawadzi...

Aptekarz był mężczyzną drobnym, chudym i nerwowym. Wykonywał trzy razy więcej ruchów, niż było to konieczne. Kazał sobie przynieść koszyk na butelki. Potem zatelefonował do kawiarni na starym mieście, by powiedziano jego pomocnikowi, że będzie mu on potrzebny.

Pięć czy sześć razy przemierzał zaaferowany, z gołą głową, drogę między hotelem „Amiral” a swoim laboratorium, znajdując zawsze czas, by rzucić parę słów grupkom zgromadzonych na chodniku ciekawskich.

— Co ja zrobię, jak mi zabiorą wszystkie trunki? — jęczał właściciel. — I nikt nie zamierza nic jeść! Nie zje pan kolacji, komisarzu? A pan, doktorze? Wraca pan do domu?

— Nie. Moja matka jest w Paryżu. Służąca wzięła urlop...

— To przenocuje pan tutaj?...

\*

Padalo. Na ulicach pełno było czarnego błota. Wiatr postukiwał okiennicami na pierwszym piętrze. Maigret jadł kolację w jadalni, nie opodał stolika, przy którym usadowił się pogrążony w

posepnym nastroju doktor.

Przez zielone szybki można było dostrzec głowy ciekawskich, którzy od czasu do czasu przyklejali twarze do okien. Kelnerka miała półgodzinną przerwę na kolację. Potem wróciła i stanęła jak zwykle wsparta lewym łokciem o kasę, z serwetką w ręku.

— Proszę podać butelkę piwa — powiedział Maigret. Kiedy pił, czuł wyraźnie, że doktor go obserwuje, jakby wypatrując objawów zatrucia.

Jean Servièeres nie wrócił, tak jak zapowiedział. Le Pommeret także. Kawiarnia nadal była pusta. Ludzie woleli nie wchodzić, a przede wszystkim nie pić. Na ulicy; twierdzono, że wszystkie butelki są zatrute.

— Można by tym otruć całe miasto!

Mer zatelefonował ze swojej willi w Sables Blancs, by dowiedzieć się dokładnie, co się dzieje. Potem zapadła grobowa cisza. Doktor Michoux w swoim kącie przeglądał, nie czytając, gazety. Kelnerka nie ruszała się. I Maigret spokojnie palił fajkę, a właściciel wpadał od czasu do czasu, by sprawdzić, czy nie wydarzyła się jakaś nowa tragedia.

Zegar na starym mieście wybijał godziny. Ucichły odgłosy kroków i ściszonych rozmów na ulicy, słychać było już tylko monotonne zawodzenie wicheru i uderzające o szyby krople deszczu.

— Przenocuje pan tutaj? — zapytał doktora Maigret. Panowała taka cisza, że nawet głośniejsze wypowiedziane słowo powodowało zakłopotanie.

— Tak... To mi się czasem zdarza. Mieszkam z matką I trzy kilometry za miastem. W ogromnej willi. Matka pojechała na parę dni do Paryża, a służąca poprosiła o urlop, bo jej brat się żeni.

Wstał, zawahał się, rzucił szybko: „Dobranoc” i zniknął na schodach. Słychać było, jak zdejmuje buty na pierwszym piętrze, tuż nad głową Maigreta. W kawiarni pozostali tylko komisarz i dziewczyna.

— Chodź no tutaj — przywołał ją Maigret obracając się na krześle.

Gdy stanęła sztywno obok niego, dorzucił:

— Siadaj! Ile masz lat?

— Dwadzieścia cztery.

Miała w sobie przesadną pokorę. Jej spuszczone oczy, bezszelestne i dobrze odmierzone ruchy, lekkie drżenie, jakie wstrząsało nią przy każdym słowie, przywodziły na myśl pomywaczkę przywykłą do szorstkiego traktowania. Pod tymi pozorami można było wszakże wyczuć oznaki głęboko skrywanej dumy.

Była anemiczna. Jej płaska pierś nie mogła budzić pożądania. Pociągała jednak swoim zakłopotaniem, swoją słabowitością i nieśmiałością.

— Co robiłaś, zanim zaczęłaś tu pracować?

— Jestem sierotą. Mój ojciec i brat zginęli na morzu, na keczu „Trois–Mages”. Matka zmarła już dawno. Najpierw byłam sprzedawczynią w sklepie papierniczym na placu de la Poste...

Czego szukało jej niespokojne spojrzenie?

— Masz kochankę?

Odwróciła bez słowa twarz, a Maigret nie spuszczać z niej wzroku zaciągał się powoli fajką. Wypił łyk piwa.

— Goście zabiegają na pewno o twoje względy. Ci, którzy byli tu przed chwilą, to stali bywalcy. Przychodzą co wieczór. Lubią ładne dziewczęta. No więc? Który z nich?

Zbladła jeszcze bardziej i wydusiła słabym, zmęczonym głosem:

— Przede wszystkim doktor...

— Jesteś jego kochanką?

Spojrzała na niego trochę mniej nieufnie.

— Są inne... Czasem i ja, jeśli ma ochotę. Sypia tutaj... Mówi mi, żebym przyszła do jego

pokoju.

Maigret rzadko słyszał tak otwarte wyznania.

— Daje ci prezenty?

— Tak... Ale nie zawsze... Dwa czy trzy razy, gdy miałam wolne, zapraszał mnie do siebie. Jeszcze przedwczoraj... Korzysta z okazji, gdy jego matka jest w podróży... Ale ma inne dziewczyny...

— A pan Le Pommeret?

— Tak samo... Ale u niego byłam tylko raz, dawno temu... Miał u siebie robotnice z przetwórnicy sardynek, a. J a ja nie chciałam! Oni co tydzień z inną...

— Pan Servières też?

— Z nim to inna sprawa... Jest żonaty... Jeździ zabawił się do Brestu. Tutaj poprzestaje na żartach, czasem uszczyplnie mnie przechodząc obok...

Ciągle padało. Gdzieś w oddali wyła syrena statku który zapewne szukał wejścia do portu.

— I tak tu jest przez cały rok?

— Nie przez cały... Zimą są sami... Czasami wypija butelkę z jakimś agentem handlowym. Ale latem są goście. Hotel jest pełny... Piją szampana i urządzają w willach hulanki na kilkanaście osób. Są samochody, piękne kobiety... my musimy pracować. Latem nie jaj podaję, ale kelnerzy. Ja zmywam naczynia na dole...

Dlaczego była czujna? Siedziała na brzegu krzesła i wyglądała, jakby była gotowa poderwać się w każdej chwili. Rozległ się przenikliwy dzwonek. Spojrzała na Maigreta, potem na tablicę umieszczoną za kasą.

— Przepraszam...

Poszła na górę. Komisarz usłyszał kroki i przytłumione głosy na piętrze, w pokoju doktora. Wszedł aptekarz, lekko podchmielony.

— Zrobione, komisarzu! Przebadalem czterdzieści osiem butelek! Zrobiłem to sumiennie, słowo daję. Ani śladu trucizny poza pernod i calvadosem. Właściciel może odebrać swoje zapasy. A tak między nami, co pan o tym sądzi? Anarchiści, prawda?

Emma wróciła, wyszła na zewnątrz zawrzeć okiennice i czekała, by zamknąć drzwi.

— No więc? — spytał Maigret, gdy znowu zostali sami.

Nic nie mówiąc odwróciła głowę z nieoczekiwanym zawstydzeniem. Komisarz odniósł wrażenie, że gdyby nalegał dłużej, wybuchnęłyby płaczem.

— Dobranoc, mała — powiedział.

\*

Kiedy komisarz wstał, niebo było tak ciemne i zachmurzone, że wydawało mu się, iż zerwał się pierwszy w całym domu. Z okna pokoju dostrzegł opustoszały port, gdzie samotny żuraw wyładowywał piasek ze statku. Na ulicach tylko kilka parasoli i peleryn przemykało wzdłuż domów.

Na środku schodów minął go agent handlowy, za którym bagażowy wnosił walizkę.

Emma zamiatała salę na dole. Na marmurowym stoliku stała filiżanka z nie dopitą kawą na dnie.

— To inspektora? — spytał Maigret.

— Tak. Wszedł już dawno z wielką paczką. Pytał o drogę na dworzec.

— A doktor?

— Zaniósłam mu śniadanie na górę... Jest chory... Nie chce wychodzić — powiedziała i znów zaczęła zamiatać wióry zmieszane z kurzem.

— Co panu podać?

— Czarną kawę...

By dostać się do kuchni, musiała przejść obok niego. W tym momencie chwycił ją za ramiona swoimi wielkimi rękami i spojrzał jej prosto w oczy groźnie i serdecznie zarazem.

— No powiedz, Emmo...

Zrobiła tylko nieśmiały ruch, by się uwolnić, i zamarła drżąc i kuląc się w sobie.

— Tak między nami, co wiesz o tym wszystkim? Cicho... Chciałaś skłamać. Jesteś biedną dziewczyną, wcale nie chcę przysparzać ci kłopotów. Spójrz na mnie! Ta butelka... Hę? Teraz mów!...

— Przysięgam...

— Nie musisz przysięgać...

— To nie ja!

— Do licha, wiem, że to nie ty! Ale kto?

Jej powieki wezbrały nagle łzami, które pociekły na policzki. Dolna warga uniosła się spazmatycznie. Dziewczyna wyglądała tak żałośnie, że Maigret musiał ją puścić.

— A doktor... tej nocy?

— Nie! To nie to, co pan myśli...

— Czego chciał?

— Pytał mnie o to samo co pan... Groził mi... Chciał, żebym mu powiedziała, kto ruszał butelkę... Niemal mniej pobił... A ja nie wiem! Przysięgam na głowę mojej matki...

— Przynieś mi kawy...

Była ósma rano. Maigret wyszedł po tytoń, przespacerował się po mieście. Gdy wrócił koło dziesiątej, doktor siedział w kawiarni, w rannych pantoflach, z apaszką na szyi zamiast kołnierzyka. Rysy twarzy miał ściągnięte, rude włosy nie uczesane.

— Nie wygląda pan najlepiej.

— Jestem chory. Mogłem się tego spodziewać. To nerki. Zawsze gdy coś mnie spotyka, jakieś niepowodzenie, wzruszenie, mam takie objawy. W nocy nie zmrzyłem oka.

Nie spuszczał wzroku z drzwi wejściowych.

— Nie wraca pan do domu?

— Nie ma tam nikogo. Tutaj mam opiekę.

Kazał sobie przynieść wszystkie poranne dzienniki, leżały teraz przed nim na stoliku.

— Nie widział pan moich przyjaciół? Servières'a? Le Pommereta? To dziwne, że nie przyszli dowiedzieć się...

— Ba! Na pewno jeszcze śpią — westchnął Maigret. — , Ale, ale, nie zauważyłem tego okropnego żółtego kundla. Emmo! Widziałaś tego psa?... Nie?... O, jest Leroy, może spotkał go na ulicy. Co nowego, Leroy?

— Flaszki i szklanki wysłane do laboratorium. Wpadłem na posterunek żandarmerii i do merostwa. Zdaje się, że mówił pan coś o psie? Podobno jakiś wieśniak widział go dziś rano w ogrodzie pana Michoux.

— W moim ogrodzie?

Doktor wstał. Jego blade dłonie drżały.

— A co on robił w moim ogrodzie?

— Powiedziano mi, że leżał na progu willi, a kiedy wieśniak podszedł bliżej, warknął tak, że ten wolał szybko wziąć nogi za pas.

Maigret obserwował kątem oka twarze obecnych.

— Doktorze, może byśmy poszli razem do pana?

Wymuszony uśmiech.

— W taki deszcz?... W moim stanie?... Kosztowałyby mnie to tydzień w łóżku. Jakie

znaczenie ma ten pies? Z pewnością zwykły przybłąda.

Maigret włożył kapelusz i płaszcz.

— Dokąd pan idzie?

— Nie wiem... Odetchnąć świeżym powietrzem... Pójdzie pan ze mną, Leroy?

Wyszli na ulicę. Widać stąd było przez okno podłużną głowę doktora. Zdeformowana przez szyby wydawała się jeszcze dłuższa i nabrała zielonkawej barwy.

— Dokąd idziemy? — spytał inspektor.

Maigret wzruszył ramionami. Błąkał się przez kwadrans wokół basenów portowych jak ktoś, kto interesuje się statkami. Gdy doszli do falochronu, skręcił w prawo zobaczywszy tabliczkę informującą, że jest to bulwar Sables Blancs.

— Gdy zbadano popiół z papierosa znaleziony w korytarzu tamtego pustego domu... — zaczął, odkaszlnąwszy, Leroy.

— Co pan myśli o Emmie? — przerwał mu Maigret.

— Ja... Myślę, że... Trudno chyba, jak sądzę, zwłaszcza w takim miasteczku, gdzie wszyscy się znają, zdobyć taką ilość strychniny...

— Nie o to pana pytam... Czy na przykład miałby pan ochotę zostać jej kochankiem?

Biedny inspektor nie wiedział, co na to odrzec. Maigret kazał mu się zatrzymać i rozpiąć płaszcz. Skrył się za jego połami przed wiatrem i zapalił fajkę.

\*

Plaża Sables Blancs, przy której stało kilka willi, wśród nich wystawna rezydencja zasługująca na miano zameczku, a należąca do mera, rozciągała się pomiędzy dwoma; skalistymi wzniesieniami, trzy kilometry od Concarneau. Maigret i jego towarzysz brnęli przez pokryty morską trawą piasek prawie nie patrząc na opustoszałe domy z pozamykanymi okiennicami.

W oddali brzeg wznosił się, a strzeliste skały zwieńczone sosnami pogrążyły się w morzu.

Wielka tablica: „Posesja Sables Blancs”. Plan, na którym różnymi kolorami zaznaczono działki już sprzedane i te jeszcze wolne. Drewniany kiosk: „Biuro Sprzedaży Gruntów”.

I uwaga: „Gdy biuro jest nieczynne, zwracać się do administratora pana Ernesta Michoux”.

Latem, świeżo odmalowane, wszystko to musiało wyglądać wesoło i przyjemnie, teraz, w błocie i deszczu, przy nieustannym szumie wzburzonego morza, robiło raczej złowrogie wrażenie.

Pośrodku — wielka nowa willa z szarego kamienia, z tarasem, sadzawką i gołymi jeszcze klombami.

Dalej kontury innych willi, wyrastające z ziemi fragmenty ścian zarysowywały kształty nie istniejących pokoi.

W kiosku nie było szyb. Sterty piasku czekały przygotowane na budowę nowej szosy, zablokowanej teraz w połowie walcem drogowym. Na szczycie skały hotel, a raczej przyszyły, nie wykończony hotel o białych, surowych ścianach i oknach zasłoniętych kawałkami tektury.

Maigret ruszył spokojnie naprzód i pchnął furtkę prowadzącą do willi doktora Michoux. Kiedy był już na progu i wyciągnął rękę w kierunku gałki u drzwi, inspektor Leroy mruknął:

— Nie mamy nakazu... Nie sądzi pan, że...

Szef jeszcze raz wzruszył ramionami. W alejkach można było dostrzec głębokie ślady łap pozostawione przez żółtego psa. Były też inne: ogromne odciski podkutych gwoździami buciorów. Numer co najmniej czterdzieści.

Gałka u drzwi obróciła się lekko, a drzwi otworzyły się jak zaczarowane. Na dywanie znaleźli te same zabłocone ślady: psich łap i wielkich butów.

Willa, zbudowana w ciężkim stylu, urządzona była dość pretensjonalnie. Wszystkie kąty

zastawiono kanapami, biblioteczkami, obudowanymi bretońskimi łózkami zamienionymi na szafki, tureckimi i chińskimi mebelkami. Mnóstwo kotar i dywanów.

Ktoś wyraźnie dążył, by z pomocą starych sprzętów stworzyć nowoczesną całość w stylu ludowym.

Kilka pejzaży bretońskich. Akty z podpisem i dedykacją: „Mojemu przyjacielowi Michoux”, a nawet: „Przyjacielowi artystów”.

Komisarz oglądał tę graciarnię ze znudzoną miną, inspektor Leroy nie pozostał jednak obojętny wobec tej fałszywej elegancji.

Maigret otwierał drzwi, zaglądał do pokoi. Niektóre nie były umeblowane, gips na ścianach nie wysechł jeszcze do końca.

Gdy pchnął nogą kolejne drzwi i znalazł się w kuchni, wyrwał mu się pomruk zadowolenia. Na białym drewnianym stole stały dwie puste butelki po bordeaux.

Tuzin puszek z konserwami pootwierano byle jak zwykłym nożem. Stół był brudny, zatłuszczony. Ktoś jadł tu prosto z puszek śledzie w białym winie, mięso w potrawce, grzybki w occie i morele w syropie.

Podłoga była poplamiona, wałały się na niej kawałki mięsa. Z rozbitej butelki najlepszego szampana unosił się zapach alkoholu mieszając się z wonią potraw.

Maigret spojrzał na swego towarzysza z dziwnym Uśmiezkiem.

— Jak pan sądzi, Leroy, czy to doktor tak naświnił przy jedzeniu?

A gdy tamten milczał oszołomiony, dodał:

— Mam nadzieję, że jego mamusia też nie! Ani nawet służąca. O, proszę! Pan tak lubi badać odciski... Mamy tu raczej grudki stwardniałego błota, które dają zarys podeszwy. Numer czterdzieści pięć albo sześć... Są też ślady psa!

Ponownie nabił fajkę, wziął zapaliki z etażerki. — Niech pan tu zbierze wszystko, co się da. Będzie pan miał co robić. Na razie!

Z rękami w kieszeniach i podniesionym kołnierzem płaszcz ruszył przed siebie plażą Sables Blancs.

Pierwszą osobą, którą zobaczył wróciwszy do hotelu „Amiral”, był doktor Michoux. Siedział w swoim kącie z apaszką obwiązaną wokół szyi, nie ogolony i ciągle w rannych pantoflach.

Le Pommeret, ubrany równie starannie jak poprzedniego dnia, siedział obok niego. Nie odzywali się słowem, gdy komisarz szedł w ich kierunku. W końcu doktor oznajmił ochryplym głosem: — Wie pan, czego się dowiedziałem? Servières zniknął. Jego żona jest bliska obłądu. Rozstał się z nami wczoraj wieczorem. Od tej pory nie widziano go.

Maigret podskoczył raptownie, nie z powodu tego, co: usłyszał, ale dlatego, że dostrzegł leżącego u stóp Emmy i żółtego psa.

### III

## „W CONCARNEAU PANUJE STRACH”

Le Pommeret odczuł potrzebę potwierdzenia wszystkiego, dla samej przyjemności usłyszenia własnego głosu.

— Przyszła do mnie niedawno błagając, bym wszczął poszukiwania. Senderes, który naprawdę nazywa się Goyard, to mój stary przyjaciel.

Spojrzenie Maigreta przeniosło się z żółtego psa na otwierające się właśnie drzwi, następnie na roznosiciela gazet, który wpadł jak wicher, i w końcu na widoczny z daleka, wydrukowany tłustą czcionką nagłówek:

### W Concarneau panuje strach

Podtytuły dodawały:

Codziennie tragedia  
Zniknięcie naszego współpracownika  
Jeana Servières  
Plamy krwi w jego samochodzie  
Kto następny?

Maigret chwycił gazeciarza za rękaw.

— Dużo tego sprzedałeś?

— Dziesięć razy tyle co zwykle. We trzech biegamy od dworca.

Puszczony przez komisarza, chłopak pomknął znów bulwarem krzycząc:

— „Le Phare de Brest”! Wydanie specjalne!

Nim Maigret zabrał się do czytania, Emma oznajmiła:

— Telefon do pana... Wściekły głos mera.

— Halo! To pan, komisarzu, kazał napisać ten idiotyczny artykuł? A ja o niczym nie wiem! Mam chyba prawo oczekiwać, by mnie pierwszego informowano, co dzieje się w mieście, gdzie jestem merem. Co to za historia z tym samochodem? A ten mężczyzna z wielkimi stopami? Przez ostatnie pół godziny miałem ponad dwadzieścia telefonów od przerażonych mieszkańców, którzy pytali, czy te wiadomości są prawdziwe. Powtarzam panu, życzę sobie, by od tej pory...

Maigret bez słowa sprzeciwu odłożył słuchawkę, wrócił do kawiarni, usiadł i zaczął czytać. Michoux i Le Pommeret przebiegali oczyma tę samą gazetę leżącą przed nimi na marmurowym stoliku.

„Nasz znakomity współpracownik Jean Servières opisywał już na naszych łamach wypadki, których areną było ostatnio Concarneau. Działo się to w piątek. Powszechnie szanowany obywatel miasta pan Mostaguen, kupiec, wyszedł z hotelu «Amiral», zatrzymał się na progu nie zamieszkanego domu, by zapalić cygaro, i został postrzelony w brzuch przez skrzynkę na listy wiszącą na drzwiach.

W sobotę przybył na miejsce komisarz Maigret z Paryża, obecnie kierujący Lotną Brygadą w Rennes, co zresztą nie zapobiegło nowej tragedii.

Tego samego dnia wieczorem poinformowano nas telefonicznie, że trzech miejscowi notable,

panowie Le Pommeret, Jean Servières i doktor Michoux, do których przyłączyli się także prowadzący śledztwo przedstawiciele policji, zasiadając do aperitifu spostrzegli, że butelka pernod, którą im podano, zawiera sporą dawkę strychniny.

W niedzielę rano natomiast na brzegu rzeki Saint-Jacques znaleziono samochód pana Jeana Servières, którego widziano po raz ostatni w sobotę wieczorem.

Na przednim siedzeniu widoczne są plamy krwi. Szyba samochodu została rozbita i wszystko wskazuje na to, że doszło do szamotaniny.

Trzy dni i trzy tragedie! W Concarneau zaczyna panować strach. Mieszkańcy zadają sobie z niepokojem pytanie, kto będzie kolejną ofiarą.

Dodatkowe zamieszanie powoduje obecność tajemniczego żółtego psa, którego nikt przedtem nie widział. To bezpieczne, jak się wydaje, zwierzę pojawia się zawsze w okolicy miejsca zbrodni.

Czy obecność psa nie naprowadziła policji na właściwy trop? Czy nie poszukuje się nie zidentyfikowanego jeszcze osobnika, który pozostawił w kilku miejscach niezwykle ślady nieprzeciętnie wielkich stóp?

Szaleniec? Włóczęga? Czy to on jest sprawcą przestępstw? Kogo zaatakuje dziś wieczorem?

Zapewne spotka się z odpowiednim przyjęciem, gdyż przerażeni mieszkańcy będą na tyle przeczorni, by się uzbroić, i zaczną strzelać w wypadku najmniejszego alarmu.

Tymczasem, mimo niedzieli, miasteczko jest niemal wymarłe. Tak wyglądały w czasie ostatniej wojny miasta północnej Francji, gdy zapowiadano bombardowanie”.

\*

Maigret spojrzął za okno. Deszcz przestał padać, ale porywisty wiatr dął nadal, a ulice tonęły w czarnym błocie. Niebo było ołowianoszare.

Ludzie wracali z mszy. Prawie wszyscy mieli w ręku „Le Phare de Brest”. Ich twarze zwracały się w kierunku hotelu „Amiral”, niektórzy przyspieszali w tym miejscu kroku.

Miasto sprawiało wrażenie wymarłego, ale czyż nie był to normalny widok w niedzielny poranek? Znowu rozległ się dzwonek telefonu. I głos Emmy:

— Nie wiem, proszę pana... Nic nie słyszałam... czy mam poprosić komisarza?... Halo!... Halo!... Przerwano...

— O co chodzi? — mruknął Maigret.

— Chyba jakiś dziennikarz z Paryża. Pytał, czy są nowe ofiary... Zamówił pokój...

— Połącz mnie z „Le Phare de Brest”.

Chodził tam i z powrotem, czekając na połączenie. Nie patrzył nawet na doktora, który ledwo trzymał się na krześle, ani na Le Pommereta, wpatrującego się w swoje ozdobione pierścieniami palce.

— Halo!... „Le Phare de Brest”? Tu komisarz Maigret.

Poproszę z redaktorem naczelnym! Halo! To pan?... Dobrze! Proszę mi powiedzieć, o której wasza gazeta wyszła dziś rano spod prasy?... Co? Wpół do dziesiątej?... A kto zredagował artykuł o tragediach w Concarneau?... Ależ nie, to nie błaga... Co takiego? Otrzymaliście ten artykuł w kopercie?... Bez podpisu? A wy drukujecie każdą anonimową wiadomość, jaka wam wpadnie w ręce?... Żegnam pana!

Chciał wyjść drzwiami prowadzącymi bezpośrednio na bulwar, ale okazało się, że są zamknięte.

— Co to ma znaczyć? — spytał Emmę patrząc jej prosto w oczy.

— To doktor...

Spojrzał na Michoux, którego głowa wydawała się jeszcze dłuższa niż zwykle, wzruszył

ramionami i wyszedł innymi drzwiami, przez hotel. Okiennice większości sklepów były pozamykane. Odświętnie ubrani ludzie szli szybkim krokiem.

Za basenem portowym, gdzie stały na kotwicy statki, Maigret odnalazł ujście rzeki Saint-Jacques. Był to już kraniec miasta, gdzie coraz rzadsze domy mieszkalne ustępowały miejsca stoczniom. Przy nabrzeżach widać było nie dokończone kadłuby statków. Stare barki butwiały w mule.

W miejscu, gdzie kamienny most łączy oba brzegi rzeki, która wpada potem do basenu portowego, można było dostrzec grupkę ciekawskich otaczającą mały samochód.

Aby do niej dotrzeć, Maigret musiał obejść nabrzeże zablokowane prowadzonymi tam robotami. Widząc spojrzenia rzucone w jego kierunku, zdał sobie sprawę, że wszyscy już go znają. Na progach sklepików zauważył grupki zaniepokojonych ludzi, którzy rozmawiali ścisłym głosem.

Dotarł w końcu do porzuconego na skraju drogi samochodu, otworzył energicznie drzwiczki, zrzucił na ziemię j odłamki szkła i bez trudu odnalazł brunatne plamy na obiciu siedzenia.

Wokół niego tłoczyła się grupka wyrostków i wystrojonych odświętnie młodych ludzi.

— Gdzie jest dom pana Servières? Od razu znalazło się dziesięciu chętnych, by go tam zaprowadzić. Był to mieszczański dom z ogrodem, położony trzysta metrów dalej, trochę na uboczu. Eskorta zatrzymała się przy bramie, a Maigret zadzwonił i został wprowadzony do środka przez drobną służącą o przerażonym spojrzeniu.

— Zastałem panią Servières?

Pani domu otwierała już drzwi od jadalni.

— Panie komisarzu... Sądzi pan, że on został zabity? Jestem bliska obłędu... Ja...

Pocziwa kobieta około czterdziestki. Wyglądała na dobrą gospodynię, co potwierdziła panująca wokół czystość.

— Nie widziała pani męża po tym, jak...

— Wrócił wczoraj wieczorem na kolację. Zauważyłam, że jest czymś zaniepokojony, ale nie chciał mi nic powiedzieć. Samochód zostawił przed domem, więc miał zamiar jeszcze wyjść po kolacji. Myślałam, że na partyjkę do kawiarni „Amiral”. Zapytałam, czy późno wróci... Położyłam się o dziesiątej. Długo nie mogłam zasnąć... Usłyszałam, jak zegar wybija jedenastą, potem w pół do dwunastej... Ale często zdarzało się, że wracał późno. Chyba zasnęłam... Obudziłam się w środku nocy. Zdziwiłam się, nie czując go obok siebie. Pomyślałam, że ktoś zaciągnął go do Brestu. Tutaj nie można się zabawić, więc czasami... Nie mogłam potem spać... Od piątej wyglądałam przez okno. Nie lubi, gdy daję mu poznać, że się niepokoiłam, a tym bardziej gdy się o niego dopytuję. O dziewiątej pobiegłam do pana Le Pommeret. Wracałam inną drogą i zobaczyłam ludzi zgromadzonych wokół samochodu. Niech mi pan powie, dlaczego by go mieli zamordować? To najlepszy człowiek na świecie... Pewna jestem, że nie ma wrogów...

Grupka przed bramą nie ruszała się z miejsca.

Podobno są plamy krwi... Widziałam ludzi czytających gazetę, ale nikt nie chciał mi pokazać...

— Mąż miał przy sobie dużo pieniędzy?

— Nie sądzę... Jak zwykle... Trzysta, czterysta franków...

Maigret obiecał informować ją o wszystkim, rzucił nawet kilka słów pocieszenia. Z kuchni doleciał zapach pieczeni. Służąca w białym fartuszkach odprowadziła go aż do drzwi.

Nie przeszedł nawet stu metrów, gdy zbliżył się do niego szybkim krokiem jakiś przechodzień.

— Pan wybaczy, panie komisarzu... Pozwoli pan, że się przedstawię, jestem Dujardin, nauczyciel... Od godziny przychodzą do mnie ludzie, przede wszystkim rodzice moich uczniów, pytając, czy prawdą jest to, o czym piszą w gazecie. Niektórzy chcieliby wiedzieć, czy mają prawo strzelać, gdyby spotkali mężczyznę z wielkimi stopami...

Maigret nie miał anielskiej cierpliwości. Mruknął wbijając ręce w kieszenie:

— Odczepcie się ode mnie!

I ruszył w kierunku centrum miasta.

To niedorzeczne! Nigdy nie widział czegoś podobnego. Przypominało to nawałnicę, jaką zobaczyć można czasem tylko w kinie. Najpierw ukazuje się ulica pełna światła, pogodne niebo. Potem nałożony techniką fotomontażu obraz chmury przesłaniającej słońce. Gwałtowny wicher omiata ulicę. Miasto ogarnia niebieskawozielony półmrok. Trzaskają okiennice. Tumany kurzu. Wielkie krople deszczu. I oto ulica omywana ulewą, niebo pociemniałe i złowrogie.

Concarneau zmieniło się w mgnieniu oka. Artykuł w „Le Phare de Brest” był tylko punktem wyjścia. Ustne komentarze już dawno prześcignęły wersję pisaną.

A do tego była niedziela! Ludzie nie mieli nic do roboty. Samochód Servières’a stał się celem przechadzek, trzeba było postawić koło niego dwóch policjantów. Gapie za — : trzymywali się tam na godzinkę, by wysłuchać objaśnień ; udzielanych przez osoby lepiej poinformowane.

Gdy Maigret wrócił do hotelu, właściciel w białym toczku na głowie, niezwykle przejęty, chwycił go za rękaw.

— Muszę z panem pomówić, komisarzu. To się staje nie do zniesienia.

— Przede wszystkim proszę mi zaraz podać obiad.

— Ależ...

Maigret usiadł w kącie, rozgniewany, i rzucił:

— Jedno piwo. Nie widział pan inspektora?

— Wyszedł. Został chyba wezwany do merostwa. Właśnie był telefon z Paryża. Zarezerwowano dwa pokoje dla reportera i fotografa.

— Co z doktorem?

— Jest na górze. Nie pozwolił nikogo do siebie wpuszczać...

— A Le Pommeret?

— Dopiero co wyszedł.

Żółtego psa nie było już w kawiarni. Młodzi ludzie z kwiatami w butonierkach i włosami sztywnymi od brylantyny siedzieli przy stoliku, ale nie pili zamówionej lemoniady. Przyszli popatrzeć. Byli dumni, że zdobyli się na taką odwagę.

— Chodź tu, Emmo...

Komisarz i dziewczyna czuli do siebie spontaniczną sympatię. Podeszła do niego swobodnie, przysiadła obok w kącie.

— Pewna jesteś, że doktor nie wychodził tej nocy?

— Nie spałam w jego pokoju, daję słowo.

— Mógł wychodzić?

— Nie sądzę... Boi się... To on kazał dziś rano zamknąć drzwi od strony bulwaru.

— Skąd cię zna ten pies?

— Nie wiem... Nigdy go nie widziałam... Przychodzi tu... Potem wychodzi. Ciekawa jestem, kto go karmi.

— Dawno wyszedł?

— Nie zwróciłam uwagi.

Inspektor Leroy wrócił zdenerwowany.

— Wie pan, panie komisarzu, mer jest wściekły. To człowiek wpływowy. Powiedział mi, że jest krewnym ministra sprawiedliwości. Twierdzi, że robimy wokół siebie wiele szumu, ale potrafimy tylko wywoływać w mieście panikę. Chce, żebyśmy kogoś aresztowali. Wszystko jedno kogo, to uspokoi ludzi. Obiecałem mu, że pomówię o tym z panem. Powtarzał ciągle, że nasza kariera nigdy jeszcze nie była tak zagrożona.

Maigret wydłubywał spokojnie resztki tytoniu z fajki.

— I co pan zamierza zrobić?

— Zupełnie nic...

— A jednak...

— Pan jest młody, Leroy. Zabezpieczył pan wszystkie ślady w willi doktora?

— Wysłałem wszystko do laboratorium. Szklanki, puszki po konserwach, nóż. Zrobiłem nawet gipsowe odlewy śladów człowieka i psa. Nie było to łatwe, tutejszy gips jest bardzo złej jakości. Ma pan jakiś pomysł?

Maigret bez słowa wyjął z kieszeni notes. Inspektor czytał, coraz bardziej zbity z tropu:

„Ernest Michoux (zwany doktorem) — syn drobnego przemysłowca z Seine-et-Oise, ojciec był deputowanym przez jedną kadencję, potem zbankrutował. Nie żyje. Matka kombinatorka. Próbowala, wraz z synem, zagospodarować parcele w Juan-les-Pins. Kompletnie fiasko. Zaczęła na nowo w Concarneau. Wykorzystując nazwisko męża założyła spółkę akcyjną. Nie wniosła swojej części kapitału. Obecnie usiłuje zmusić gminę i departament, by pokryły koszty uzbrojenia terenu.

Ernest Michoux był żonaty, rozwiódł się. Była żona poślubiła notariusza z Lilie. Typ nieudacznika. Nie zawsze wypłacamy”.

Inspektor spojrział na szefa, jakby chciał powiedzieć: „I co jeszcze?”

Maigret wskazał mu notatkę poniżej:

„Yves Le Pommeret — rodzina Le Pommeret. Jego brat Artur posiada największą fabrykę konserw w Concarneau. Drobną szlachta. Yves Le Pommeret to największy lekkoduch w rodzinie. Nigdy nie pracował. Większą część majątku przehubał dawno temu w Paryżu. Osiadł w Concarneau, gdy pozostało mu tylko dwadzieścia tysięcy franków renty. Uważany ciągle za notabla, choć sam czyści sobie buty. Liczne przygody z młodymi robotnikami. Kilka skandali trzeba było zatuszować. Zapraszany na polowania do okolicznych posiadłości. Żyje na szeroką stopę. Dzięki koneksjom mianowany wicekonsulem Danii. Ubiega się o Legię Honorową. Czasem wyłudza pieniądze od brata, by spłacić długi.

Jean Servières (pseudonim Jeana Goyard) — urodzony w Morbihan. Przez długi czas dziennikarz w Paryżu, kierownik literacki pomniejszych teatrów itp. Otrzyma — wszy niewielki spadek, osiadł w Concarneau. Poślubił dawną bileterkę, która była jego kochanką przez piętnaście lat. Prowadzą mieszczański styl życia. Kilka wybryków w Breście i Nantes. Utrzymuje się raczej z drobnych rent niż z dziennikarstwa, którym się tak chlubi. Palmy akademickie”.

— Nie rozumiem — wybełkotał inspektor.

— Do licha! Niech pan pokaże swoje notatki.

— Ależ... Kto panu powiedział, że...

— Niech pan pokaże!

Komisarz używał małego kratkowanego notesu za pół franka, w ceratowej okładce. Inspektor Leroy sporządzał notatki w terminarzu, którego ruchome stronice połączone były stalowymi kółeczkami.

Maigret zaczął czytać z protekcyjnym wyrazem twarzy.

„1. Sprawa Mostaguena: kula, która trafiła handlarza win, była z pewnością przeznaczona dla kogoś innego. Strzelający nie mógł przewidzieć, że ktoś zatrzyma się w progu, musiał więc umówić się tam z prawdziwą ofiarą, która nie przyszła albo przyszła zbyt późno.

Chyba że chodziło o sterroryzowanie całego miasta? Zabójca doskonale zna Concarneau. (Zaniedbano analizę popiołu tytoniowego znalezionej w korytarzu).

2. Sprawa zatrutego pernod: w zimie kawiarnia «Amiral» jest pusta prawie przez cały dzień. Każdy, kto o tym wiedział, mógł wejść i wsypać truciznę do butelki. Do dwóch butelek. A więc

ofiarami mieli być amatorzy pernod i calvadosu. (Jest godne uwagi, że doktor łatwo i w porę dostrzegł białe ziarenka w cieczy).

3. Sprawa żółtego psa: zna kawiarnię «Amiral». Ma pana. Ale kto nim jest? Wygląda na co najmniej pięć lat.

4. Sprawa Servières'a: ustalić, na podstawie analizy grafologicznej, kto wysłał artykuł do «Le Phare de Brest».

Maigret uśmiechnął się, oddał koledze terminarz i rzucił mimochodem:

— Doskonale, chłopcze.

Obrzuciwszy chmurnym spojrzeniem sylwetki ciekawskich, które ukazywały się nieustannie za zielonymi szybami, dodał:

— Chodźmy coś zjeść.

Nieco później, gdy siedzieli w jadalni, gdzie jedynym gościem poza nimi był przybyły tego ranka agent handlowy, Emma powiedziała im, że doktor Michoux, którego stan zdrowia uległ pogorszeniu, poprosił, by podano mu lekki posiłek do pokoju.

\*

Po południu kawiarnia „Amiral”, przed której zielonkawymi szybami defilował szereg odświętnie ubranych przechodniów, przywodziła na myśl raczej klatkę w Jardin des Plantes niż kawiarnię. Spacerowicze udawali się następnie w głąb portu, gdzie kolejną atrakcją stanowił samochód Servières'a strzeżony przez dwóch policjantów.

Mer telefonował trzy razy ze swojej luksusowej willi w Sables Blancs.

— Już pan kogoś aresztował?

Maigret ledwo raczył mu odpowiadać. Do kawiarni wdarty się hałaśliwe grupki nastolatków. Obsiedli stoliki, zamówili napoje, ale nikt nic nie pił.

Po paru minutach błyskotliwe uwagi stawały się coraz rzadsze, śmiechy przycichały, a nonszalancja zmieniła się w skrępowanie. Jedni po drugich opuszczali kawiarnię.

Różnica nastroju stała się bardziej zauważalna, gdy „zapalono latarnie. Była czwarta. Zwykle o tej porze mnóstwo ludzi krążyło jeszcze po ulicach. Tego wieczoru było pusto, panowała śmiertelna cisza. Można by pomyśleć, że wszyscy się zmówili. W niecały kwadrans ulice opustoszały, a jeśli dobiegał skądś odgłos kroków, to były to szybkie kroki przechodnia pragnącego jak najszybciej schronić się w domowe zacisze.

Emma siedziała wsparta łokciami o kasę. Maigret słuchał jednym uchem utyskiwań właściciela, który wyszedł do niego z kuchni.

Ernest Michoux szedł na dół około wpół do piątej, nadal w rannych pantoflach. Był nie ogolony. Na jego kremowej jedwabnej apaszcze widać było ślady potu.

— Pan tutaj, komisarzu? Poczul się chyba pewniej.

— A inspektor?

— Kazałem mu przejść się po mieście.

— A pies?

— Nie widziano go od rana.

Podłoga była szara, na surowej bieli marmurowych stolików odznaczały się niebieskie żyłki. Widoczny przez okno podświetlany zegar na starym mieście wskazywał za dziesięć piątą.

— Ciągłe nie wiadomo, kto napisał ten artykuł? Gazeta leżała na stole. Widać było teraz tylko dwa słowa: „Kto następnym?”

Rozległ się dzwonek telefonu, Emma podniosła słuchawkę.

— Nie... Nie... Nic nie wiem.

— Kto to? — spytał Maigret.

— Znowu z tej paryskiej gazety. Dziennikarze przyjadą chyba samochodem...

Nim zdążyła dokończyć, telefon znowu zadzwonił.

— To do pana, panie komisarzu.

Doktor, pobladły, śledził go wzrokiem.

— Halo! Kto przy aparacie?

— Leroy... Jestem na starym mieście, przy kanale. Padł strzał. Strzelił szewc, który dostrzegł przez okno żółtego psa...

— Zabity?

— Ranny! Ma przestrzelony kręgosłup. Zwierzę ledwo się czołga... Ludzie boją się podejść... Dzwonię z kawiarni... Pies leży na środku ulicy... Widzę go przez okno... Skowyczy... Co mam robić?

Głos inspektora mimo pozorów opanowania zdradzał niepokój, jakby ten ranny pies był jakąś nieziemską istotą.

— Ludzie wyglądają z okien... Niech pan powie, panie komisarzu, czy mam go dobić?

Twarz stojącego za Maigretem doktora stała się ołowianoszara. Zapytał nieśmiało:

— Co się stało? Co on mówił?

Emma, oparta o kontuar, patrzyła z roztargnieniem przed siebie.

## IV DOWÓDZTWO KOMPANII

Maigret minął zwodzony most, przekroczył linię murów obronnych, zagłębił się w krętą, słabo oświetloną uliczkę. Otoczona ciągle murami stara dzielnica, zwana przez mieszkańców zamkniętym miastem, była jedną z najgęściej zaludnionych części Concarneau.

Mimo to, w miarę jak komisarz posuwał się naprzód, cisza stawała się coraz bardziej niepokojąca. Była to cisza, jaka panuje w tłumie, który boi się, drży i niecierpliwi, zafascynowany oglądanym widowiskiem.

Kilka pojedynczych okrzyków zuchowatych wyrostków.

Jeszcze jeden zakręt i oczom komisarza ukazał się następujący widok: wąska uliczka, głowy mieszkańców we wszystkich oknach, pokoje oświetlone naftą, zarysy łóżek, grupka blokująca przejście, a poza nią pusta przestrzeń, z której dochodził głuchy skowyt.

Maigret rozsunął gapiów, przeważnie młodych ludzi zaskoczonych jego przybyciem. Dwóch z nich wciąż jeszcze ciskało kamieniami w stronę psa. Koledzy chcieli ich powstrzymać. Można było raczej wyczuć niż usłyszeć:

— Uwaga!

Jeden z rzucających zarumienił się po uszy, gdy Maigret odepchnął go na bok i ruszył w kierunku rannego zwierzęcia. Mimo panującej wciąż ciszy nastrój uległ gwałtownej zmianie. Jasne było, że jeszcze przed chwilą chorobliwe podniecenie ożywiało wszystkich ciekawskich, z wyjątkiem starej kobiety, która krzyczała z okna:

— To podłość! Powinien ich pan spisać, komisarzu! Zawzięli się wszyscy na to biedne stworzenie. Już ja dobrze wiem, dlaczego. Bo się go boją!

Szewc, który strzelił, cofnął się zawstydzony do swego sklepu. Maigret schylił się, pogłaskał po głowie psa, który spojrzał na niego ze zdumieniem, choć jeszcze nie z wdzięcznością. Inspektor Leroy wyszedł z kawiarni, skąd telefonował. Ludzie rozchodzili się niechętnie.

— Niech ktoś sprowadzi ręczny wózek.

Okna zamykały się jedno po drugim, ale za firankami wciąż jeszcze można było dostrzec sylwetki ciekawskich.

Pies był brudny, jego gęsta sierść poplamiona krwią. Brzuch miał zabłocony, a nos gorący i suchy. Teraz, gdy zajęto się nim, odzyskał pewność siebie i nie starał się już czołgać po ziemi. Wokół niego leżało kilkanaście kamieni.

— Gdzie go zawieźć, panie komisarzu?

— Do hotelu... Ostrożnie. Niech pan położy na dno wózka trochę słomy.

Kiedy indziej ten orszak mógłby wyglądać zabawnie, ale w atmosferze niepokoju, który narastał powoli od rana, robił wstrząsające wrażenie. Wózek, popychany przez jakiegoś staruszka, toczył się krętą uliczką podskakując na kamieniach. Gdy minęli zwodzony most, nikt nie ośmielił się im towarzyszyć. Pies dyszał ciężko i wyciągał przed siebie kurczowo cztery łapy.

Przed hotelem „Amiral” Maigret spostrzegł samochód, którego dotąd nie widział. Gdy pchnął drzwi kawiarni, stwierdził, że atmosfera tam się zmieniła.

Potrącił go jakiś mężczyzna, spostrzegł psa, którego właśnie wnoszono, wycelował w niego aparat fotograficzny, błysnął magnezją. Drugi, w bryczesach i czerwonym swetrze, z notesem w ręku, uniósł dłoń do daszka czapki.

— Komisarz Maigret? Jestem Vasco z „Journal”... Właśnie przyjechałem, miałem już okazję poznać pana... — powiedział i wskazał Michoux, który siedział w kącie oparty plecami o

moleskinową ławeczkę.

— Za nami jedzie samochód z „Le Petit Parisien”. Mieli awarię, jakieś dziesięć kilometrów stąd.

— Gdzie mam go położyć? — spytała Emma komisarza.

— Nie znajdzie się tu dla niego jakieś miejsce?

— Taak... Od podwórza jest korytarzyk, gdzie składowane są puste butelki.

— Leroy! Niech pan zatelefonuje po weterynarza.

Jeszcze przed godziną w opustoszałej sali panowała pełna niepokoju cisza. Teraz fotograf w jasnym, prawie białym trenczu, potrącał stoliki i krzesła wykrzykując:

— Chwileczkę! Proszę się nie ruszać... Proszę obrócić łeb psa w moją stronę.

Błyskała magnesja.

— Gdzie Le Pommeret? — spytał Maigret zwracając się do doktora.

— Wszedł tuż do pana. Mer znowu telefonował. Myślę, że zaraz tu przyjedzie.

\*

O dziewiątej wieczorem sala wyglądała już jak kwatera główna. Przyjechało jeszcze dwóch reporterów. Jeden z nich pisał artykuł przy stoliku w głębi. Od czasu do czasu przybiegał ze swego pokoju fotograf.

— Nie macie dziewięćdziesięcioprocentowego spirytusu? Potrzebuję go koniecznie, żeby wysuszyć klisze. Ten pies jest wspaniały! Mówi pan, że obok jest apteka?... Zamknięta?... Nie szkodzi...

W korytarzu, gdzie znajdował się aparat telefoniczny, dziennikarz dyktował bezbarwnym głosem swój artykuł.

— Maigret, tak... M jak Maurycy, A jak Artur... Tak. I jak Izydor... Proszę od razu zapisać wszystkie nazwiska... Michoux... M... i... Proszę uważać. Podaję nagłówki... Czy to pójdzie na „jedynek”?... Ależ tak! Niech pani powie szefowi, że to musi pójść na pierwszą stronę!

Zbity z tropu inspektor Leroy nieustannie szukał wzrokiem Maigreta, jakby chciał się na nim wesprzeć. W kącie agent handlowy przygotowywał się do następnego objazdu studiując książkę telefoniczną departamentów. Od czasu do czasu wzywał Emmę.

— „Chauffier wyroby żelazne”... Czy to duży sklep? Dziękuję.

Weterynarz wyjął kulę i założył na zad psa sztywny opatrunek.

— Te zwierzęta to mają ciężkie życie!

W wyłożonym płytami niebieskiego granitu korytarzyku, prowadzącym jednocześnie na podwórze i na schody do piwnicy, na warstwie słomy rozłożono stary koc. Pies leżał tam zupełnie sam, tuż obok kawałka mięsa, którego nawet nie tknął.

Mer przyjechał samochodem. Był to starszy pan z białą bródką, bardzo zadbany, szybki, zdecydowany w ruchach. Wszedłszy do sali, w której panowała atmosfera przywodząca na myśl nie tyle kawiarnię, co raczej odwach albo dowództwo kompanii, zmarszczył brwi i zapytał:

— Kim są ci panowie?

— To dziennikarze z Paryża... Mer był bliski wybuchu.

— Wspaniale! A jutro już cała Francja będzie mówić o tej nedorzecznej historii! Nic pan jeszcze nie znalazł?

— Śledztwo w toku... — mruknął Maigret takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „To nie pańska sprawa!”

Awantura wisiała w powietrzu. Nerwy wszystkich napięte były do granic wytrzymałości.

— A pan, Michoux, nie wraca pan do domu? — spytał wzgardliwie mer, jakby zarzucał mu

tchórzostwo. — Jak tak dalej pójdzie, w ciągu dwudziestu czterech godzin panika ogarnie całe miasto. Uważam, że w tej sytuacji trzeba kogoś aresztować, nie ważne kogo...

Wypowiadając te ostatnie słowa spojrzął znacząco na Emmę.

— Wiem, że nie mam prawa panu rozkazywać... Jeśli chodzi o miejscową policję, to pozostawił jej pan całkiem podrzędną rolę. Ale oświadczam panu, jeszcze jedna tragedia, tylko jedna, i nastąpi katastrofa. Ludzie spodziewają się nie wiadomo czego. W sklepach, które zazwyczaj w niedzielę są otwarte do dziewiątej, pozamykano okiennice. Ten niedorzeczny artykuł z „Le Phare de Brest” nastraszył ludzi...

Mer nie zdjął dotąd melonika, wychodząc wcisnął go jeszcze bardziej na głowę i powiedział:

— Będę panu zobowiązany, jeśli zechce mnie pan informować o wszystkim, komisarzy. I przypominam panu, że ponosi pan odpowiedzialność za to, co się tu dzieje...

— Jedno piwo, Emmo! — zamówił Maigret.

Nie można było zapobiec przyjazdowi dziennikarzy do hotelu „Amiral” ani zabronić im rozgościć się w kawiarni.

Telefonowali, żądali papieru i atramentu, napełniali cały budynek hałaśliwym podnieceniem. Wypytywali Emmę, która odpowiadała z żałośnie wystraszoną miną.

Za oknami panowała ciemna noc. Wątle promienie „księżycy, zamiast rozjaśniać ją, wzmagaly tylko romantyczny nastrój, jaki tworzyły wiszące na niebie ciężkie chmury. I to błoto oblepiające buty przechodniów. W Concarneau nie znano bowiem jeszcze brukowanych ulic!

— Czy Le Pommeret powiedział panu, że wróci? — spytał doktora Maigret.

— Tak... Poszedł do domu na kolację.

— Gdzie mieszka? — zapytał dziennikarz, który nie miał już nic do roboty.

Doktor podał mu adres, a Maigret wruszył tylko ramionami i odciągnął Leroy na bok.

— Ma pan rękopis artykułu, który ukazał się dziś rano?

— Właśnie go dostałem. Jest w moim pokoju. Autor obawiał się widocznie, że jego charakter pisma zostanie rozpoznany, skoro napisał go lewą ręką.

— Bez znaczką?

— Bez! List wrzucono do skrzynki pocztowej w redakcji. Na kopercie jest uwaga: „Bardzo pilne!”

— Najpóźniej o ósmej rano ktoś wiedział o zniknięciu Jeana Servières, wiedział, że jego samochód został lub zostanie porzucony na brzegu rzeki i że na siedzeniu są ślady krwi. I co więcej, ten ktoś spodziewał się, że wkrótce odkryte zostaną odciski wielkich stóp nieznanego.

— To nie do wiary! — westchnął inspektor. — Odciski palców przesłałem na Quai des Orfevres belinografem. Dostałem już odpowiedź. Nie mają ich w kartotece.

Nie było wątpliwości. Leroy udzielił się panujący wokół ‘ strach. Ale o wiele bardziej zainfekowany, by tak rzec, tym wirusem był Ernest Michoux, którego przyblakła postać kontrastowała z pewnością siebie, sportową postawą i niewymuszonymi manierami dziennikarzy.

Nie wiedział, co z sobą począć.

— Nie idzie pan spać? — spytał go Maigret.

— Jeszcze nie. Nigdy nie zasypiam przed pierwszą w nocy.

Zmusił się do słabego półuśmiechu, ukazując przy tym dwa złote zęby.

— A tak szczerze mówiąc, to co pan o tym myśli? Podświetlany zegar na starym mieście wybił dziesiątą.

Wezwano komisarza do telefonu. Dzwonił mer.

— Ciągle nic?

Czyżby on także oczekiwał nowej tragedii?

Ale czy Maigret sam jej nie oczekiwał? Z nachmurzonym czołem poszedł zobaczyć psa, który

obudził się z drzemki, otworzył jedno oko i spoglądał bez obawy. Komisarz pogładził go po głowie, podłożył mu trochę słomy pod łapy.

Za plecami dostrzegł właściciela hotelu.

— Sądzi pan, że ci dziennikarze chcą się tu dłużej zatrzymać? W takim razie musiałbym uzupełnić zapasy. Jutro o szóstej rano jest targ.

Ludzie nie znający Maigreta peszyli się zwykle w takiej sytuacji, widząc, jak spogląda na nich beznamiętnie swoimi szeroko otwartymi oczyma, po czym oddala się, mrucząc coś pod nosem, jakby uważał ich za zjawiska niegodne uwagi.

Wszedł reporter z „Le Petit Parisien”, otrząsnął ociekającą wodą pelerynę.

— No, no... Pada? Co nowego, Groslin?

Oczy młodego mężczyzny zabłysły na chwilę, ściszone głosem powiedział parę słów fotografowi, z którym przyjechał, po czym chwycił słuchawkę telefonu.

— Poproszę z „Le Petit Parisien”... Służba prasowa, mam pierwszeństwo!... Co? Ma pani bezpośrednie połączenie z Paryżem?... Więc proszę szybko łączyć!... Halo! Halo!... „Le Petit Parisien”?... Pani Germaine?... Niech mi pani da dyżurną stenotypistkę... Tu Groslin.

Niecierpliwił się. I spoglądał wyzywająco na słuchających go kolegów. Maigret, który przechodził tuż za nim, zatrzymał się, by posłuchać.

— Halo! To pani, Jeanne?... Szybko! Zdążymy to jesz — Cze dać do paru wydań prowincjonalnych. Inni będą to mieli tylko w wydaniu paryskim. Niech pani powie sekretarzowi redakcji, żeby zredagował artykuł. Ja nie mam czasu... Sprawa Concarneau... Nasze przewidywania potwierdziły się. Nowa zbrodnia... Halo! Tak, zbrodnia! Morderstwo, jeśli pani woli!

Wszyscy zamilkli. Doktor jak zahipnotyzowany podszedł do dziennikarza, który ciągnął dalej, rozgorączkowany i tryumfujący, przytupując z niecierpliwością.

— Po panu Mostaguen dziennikarz Jean Servières, teraz pan Le Pommeret... Tak, zaraz pani przeliteruję nazwisko. Właśnie znaleziono go martwego w pokoju... W domu! Żadnych ran... Mięśnie zeszywniałe, wszystko wskazuje na otrucie... Chwileczkę... Proszę zakończyć: „Strach panuje...” Tak! Niech pani biegnie do sekretarza redakcji! Zaraz pani przedyktuję artykuł do wydania paryskiego, ale to musi się ukazać w wydaniach prowincjonalnych.

Odłożył słuchawkę, otarł czoło i powiódł wkoło rozradowanym spojrzeniem. Telefon znowu zadzwonił.

— Halo! To pan, panie komisarzu? Już od kwadransa usiłuję się z panem połączyć... Dzwonię — z domu Le Pommereta. Szybko! Nie żyje!

Głos w słuchawce powtórzył zawodząc:

— Nie żyje...

Maigret rozejrzał się wokół. Na prawie wszystkich stolikach stały puste kieliszki. Emma, pobladła, śledziła go wzrokiem.

— Niech nikt nie dotyka kieliszków ani butelek! — rozkazał. — Rozumie pan, Leroy? Niech się pan stąd nie rusza!

Doktor, z czołem ociekającym potem, zerwał apaszkę, odsłaniając chudą szyję i koszulę zapiętą na guzik od kołnierzyka.

\*

Gdy Maigret wszedł do mieszkania Le Pommereta, lekarz, który mieszkał w sąsiedztwie, dokonywał już pierwszych oględzin. Była tam też właścicielka domu, kobieta lat około pięćdziesięciu, ta sama, która telefonowała do kawiarni.

Piękny dom z szarego kamienia, stojący frontem do morza. Co dwadzieścia sekund snop światła latarni morskiej rozpalał czerwienią szyby okien.

Balkon. Drzewce flagi i tablica z godłem Danii.

Ciało leżało rozciągnięte na czerwonym dywanie w garsonierze pełnej bezwartościowych bibelotów. Na korytarzu pięć osób przyglądało się bez słowa wchodzącemu komisarzowi.

Na ścianach fotografie aktorek, grafiki wycięte z frywolnych czasopism i oprawione w szkło, kilka pochodzących od kobiet dedykacji.

Le Pommeret miał rozchełstaną koszulę, buty były jeszcze oblepione błotem.

— Strychnina! — powiedział lekarz. — Jestem prawie pewny... Proszę spojrzeć na oczy. A przede wszystkim ta sztywność ciała. Agonia trwała ponad pół godziny. Może więcej...

— Gdzie pani wtedy była? — spytał właścicielkę Maigret.

— Na dole... Całe pierwsze piętro odnajmowałam panu Le Pommeret, który stołował się u mnie. Wrócił na kolację około ósmej. Prawie nic nie jadł... Skarzył się, że światło jest przyciemnione, a przecież lampy świeciły normalnie. Powiedział, że zaraz wyjdzie, ale przedtem weźmie aspirynę, bo boli go głowa.

Komisarz spojrział pytająco na doktora.

— Zgadza się! Pierwsze symptomy...

— Po jakim czasie od przyjęcia trucizny występują?

— To zależy od dawki i organizmu człowieka. Czasami pół godziny, czasami dwie.

— A zgon?

— Następuje w wyniku całkowitego paraliżu. Ale przedtem pojawiają się porażenia miejscowe. Możliwe, że próbował wzywać pomocy. Leżał na tej kanapie.

Ta sama kanapa, dzięki której mieszkanie Le Pommereta zyskało miano „domu bezpieczeństwa”. Najwięcej frywolnych rycin wisiało właśnie koło niej. Nocna lampka syczyła różowe światło.

— Rzucił się jak w czasie ataku *delirium tremens*... śmierć nastąpiła, gdy leżał na podłodze.

Maigret podszedł do drzwi, przez które chciał właśnie wejść fotograf, i zamknął mu je przed nosem. Kalkulował półgłosem:

— Le Pommeret wyszedł z kawiarni „Amiral” tuż po siódmej. Wypił wódkę z wodą. Tutaj jadł i pił kwadrans potem. Biorąc pod uwagę to, co pan mówi o działaniu strychniny, mógł ją połknąć równie dobrze tu, jak i tam.

Rzucił się nagle na korytarz, gdzie stała, popłakując, właścicielka otoczona przez trzy sąsiadki.

— Talerze, kieliszki używane do obiadu?

Przez chwilę nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Gdy zdecydowała się odpowiedzieć, sam już dostrzegł w kuchni wanienkę z ciepłą jeszcze wodą, czyste naczynia po prawej stronie, brudne talerze i kieliszki po lewej.

— Zajęta byłam zmywaniem, gdy... Wszedł posterunkowy.

— Niech pan pilnuje domu. Proszę nie wpuszczać nikogo oprócz właścicielki. I żadnych dziennikarzy ani fotografów! Niech nikt nie dotyka talerzy i kieliszków.

W drodze do hotelu Maigret musiał przebyć pięćset metrów w gwałtownym wietrze. Miasto pogrążone było w mroku. Tylko w dwóch czy w trzech oknach paliło się światło.

Natomiast trzy okna hotelu „Amiral” były oświetlone, ale dzięki zielonym szybom robiły raczej wrażenie ogromnego akwarium.

Zbliżywszy się do kawiarni, usłyszał hałaśliwe rozmowy, dzwonek telefonu i warkot zapuszczanego silnika.

— Dokąd pan jedzie? — zapytał Maigret. Pytanie skierowane było do jednego z dziennikarzy.

— Linia zajęta! Poszukam innego telefonu. Za dziesięć minut będzie już za późno. Nie zdążę przekazać wiadomości dla wydania paryskiego.

Stojący w kawiarni inspektor Leroy przypominał wychowawcę nadzorującego odrabiających lekcje mieszkańców internatu. Ktoś pisał bez wytchnienia. Agent handlowy był nieco oszołomiony, ale i podniecony tą nową dla niego atmosferą.

Wszystkie naczynia pozostawiono na stołach. Były tam kieliszki na nóżkach do aperitifów, pokryte pianą szklanki do piwa, małe kieliszki do likierów.

— O której godzinie sprzątno ze stołów? Emma zastanawiała się przez chwilę.

— Nie mogę dokładnie powiedzieć. Zabierałam kieliszki i szklanki w miarę, jak przychodzili nowi goście. Niektóre stoją już od południa...

— A kieliszek pana Le Pommeret?

— Co on pił, panie Michoux?

— Wódkę z wodą — odpowiedział za niego Maigret. Obejrzała po kolei spodeczki.

— Sześć franków... Ale podawałam też whisky jednemu z tych panów. Kosztuje tyle samo... Może to ten kieliszek? A może nie...

Fotograf, wcale nie zbity z tropu, sfotografował całą tę rozłożoną na stolikach i oświetloną zielonkawo kompozycję wyrobów szklanych.

— Niech pan sprowadzi mi tu aptekarza — polecił inspektorowi Maigret.

Była to prawdziwa noc kieliszków i talerzy. Sprowadzono je z domu Le Pommereta. Reporterzy zachowywali się w laboratorium aptekarza jak u siebie w domu. Jeden z nich, były student medycyny, pomagał nawet w analizach. Mer poprzestał na rzuceniu przez telefon autorytarnym tonem:

— ...Cała odpowiedzialność...

Niczego nie znaleziono. Pojawił się za to właściciel hotelu pytając:

— A co się stało z psem?

Korytarzyk, gdzie położono go na słomie, był pusty. Żółty pies, który nie mógł chodzić ani nawet czołgać się z powodu opatrunku unieruchamiającego mu zad, zniknął.

Badanie kieliszków też niczego nie wyjaśniło.

— Kieliszek pana Le Pommeret został chyba umyty. Już sama nie wiem... W tym zamieszaniu... — powiedziała Emma.

Także w domu Le Pommereta połowę naczyń zmyto wcześniej w ciepłej wodzie.

Ernest Michoux, którego twarz z bladej stała się ziemista, niepokoił się przede wszystkim zniknięciem psa.

— Ktoś przyszedł po niego od podwórza. Można się tam dostać przez zaułek od strony bulwaru. Niech zablokują drzwi... W przeciwnym wypadku... Pomyśleć, że ktoś mógł dotrzeć nie zauważony aż tutaj... I wyjść trzymając na rękach to zwierzę.

Wydawało się, że nie ma odwagi opuścić sali, i stara się trzymać jak najdalej od drzwi.

## V

### CZŁOWIEK Z CABÉLOU

Była ósma rano. Maigret, który wcale nie kładł się spać, właśnie się wykąpał i ogolił przed lusterkiem zawieszonym na klamce od okna.

Było chłodniej niż w poprzednie dni. Deszcz padał mętnobiały niczym stopiony śnieg. Na dole reporter czekał na przybycie dzienników paryskich. O siódmej trzydzieści dał się słyszeć gwizd pociągu. Za parę minut pojawią się roznosiciele wydań specjalnych.

Na oczach komisarza rynek, na którym jak co tydzień urządzone targowisko, zapełnił się ludźmi. Czuło się jednak, że nie panuje tam zwykłe ożywienie. Rozmawiano po cichu. Chłopi wyglądali na zaniepokojonych, wieści rozeszły się”.

Na rynku ustawiono z pięćdziesiąt straganów, na których sprzedawano oselki masła, jaja, warzywa, szelki i jedwabne pończochy. Po prawej stronie stały lekkie powozy wszelkich typów, a nad całością dominowały posuwające się płynnie białe koronkowe czepki gospodyń.

Choć Maigret nie mógł dostrzec niczego szczególnego, wygląd części targowiska uległ gwałtownej zmianie. Ludzie zbili się w gromadki i spoglądali wszyscy w tym samym kierunku. Okno pokoju było zamknięte, więc do środka nie docierały żadne odgłosy z wyjątkiem jednostajnego szumu.

Spojrzał dalej. W porcie kilku rybaków ładowało na barki puste kosze i sieci. Nagle znieruchomieli stojąc w szeregu, by przepuścić dwóch miejscowych policjantów, którzy prowadzili w kierunku merostwa zatrzymanego mężczyznę.

Jeden z policjantów był całkiem młody, miał naiwną i pozbawioną zarostu twarz. Drugi nosił rudobrunatne wąsiska, a gęste brwi nadawały jego twarzy demoniczny niemal wyraz.

Rozmowy na targowisku umilkły. Obserwowano zbliżających się mężczyzn. Pokazywano sobie kajdanki na rękach zatrzymanego.

Prawdziwy olbrzym! Szedł pochylony do przodu, dzięki czemu jego ramiona wydawały się dwa razy szersze.

Powłóczył nogami w błocie. Sprawiał wrażenie, jakby to on holował policjantów.

Miał na sobie jakąś zniszczoną marynarkę. Jego gęste, brązowe włosy były bardzo krótko przycięte. Dziennikarz wbiegł na górę po schodach, łomotał do drzwi krzycząc do swego śpiącego jeszcze fotografa.

— Benoit! Benoit! Szybko! Wstawaj!... Doskonałe ujęcie!

Nie przeczuwał nawet, ile w tym było racji. Kiedy Maigret ścierał z policzków resztkę mydła i usiłował znaleźć marynarkę, nie spuszczać oczu z widowiska, wydarzyło się bowiem coś zupełnie niesłychanego.

Tłum w jednej chwili rozstał się, by przepuścić policjantów i zatrzymanego. Ten ostatni, który widocznie od dawna czekał na taką okazję, targnął gwałtownie kajdankami.

Komisarz dostrzegł z dala żałosne końce łańcucha zwisające z rąk policjantów. Tymczasem mężczyzna zniknął w tłumie. Jakaś kobieta upadła na ziemię. Ludzie pierchali na wszystkie strony. Zanim ktokolwiek zdołał oprzytomnieć, więzień skoczył w zaułek położony o dwadzieścia metrów od hotelu tuż obok pustego domu, którego skrzynkę na listy strzaskała w poprzedni piątek kula.

Policjant, ten młodszy, już chciał wystrzelić, ale po chwili wahania puścił się biegiem trzymając broń w taki sposób, że Maigret bał się wypadku. Drewniany stojak nie wytrzymał naporu uciekających i wspierający się na nim płócienny daszek zwałił się na rozłożone pod nim oselki

masła.

Młody policjant odważnie rzucił się w zaułek. Maigret, który znał to miejsce, bez pośpiechu kończył się ubierać. » Odszukać tam olbrzymia graniczyłoby z cudem. Zaułek, szerokości najwyżej dwóch metrów, skręcał dwukrotnie pod kątem prostym. Wychodziły na niego tylne drzwi około dwudziestu domów stojących przy bulwarze i rynku, dalej były składy, magazyny sklepu z olinowaniem i osprzętem morskim, składnice konserw, cała gmatwanina niekształtnych budynków, kątów i zakamarków, łatwo dostępnych dachów, które uniemożliwiały skuteczny pościg.

Tłum trzymał się z daleka. Kobieta, którą przewrócono na ziemię, wygrażała pięściami na wszystkie strony, czerwona z oburzenia, a spływające łzy wisały jej, drżące, pod brodą.

Fotograf wyszedł z hotelu na bosaka, w trenczu narzuconym na piżamę.

\*

Mer przyjechał pół godziny później, tuż po poruczniku żandarmerii, którego ludzie zabrali się do przeszukiwania okolicznych budynków.

Na widok Maigreta siedzącego przy kawiarnianym stoliku w towarzystwie młodego policjanta i pochłaniającego tosty, pierwszy dygnitarz miasta zatrzęsł się z oburzenia.

— Uprzedzałem pana, komisarzu, że uczynię pana odpowiedzialnym za... za... Ale pan, zdaje mi się, nie jest tym zbyt poruszony? Wyślę zaraz telegram do ministra spraw wewnętrznych, by go poinformować o... o... i poprosić go... Widział pan, co się dzieje na mieście? Ludzie boją się pozostawać w domu. Jakiś kaleki staruszek wyje z przerażenia, bo siedzi unieruchomiony na drugim piętrze. Ciągłe się komuś wydaje, że widzi gdzieś tego bandytę.

Maigret odwrócił się i spostrzegł Ernesta Michoux, który snując się jak widmo starał się trzymać jak najbliżej komisarza niczym przestraszone dziecko.

— Proszę zauważyć, że to miejscowa policja, czyli zwykli funkcjonariusze dokonali aresztowania, podczas gdy...

— Ciągłe upiera się pan przy tym, że powinienem kogoś aresztować?

— Co pan chce przez to powiedzieć? Zamierza pan pochwycić tego zbiega?

— Prosił mnie pan wczoraj o jakieś aresztowanie, obojętne jakie...

Dziennikarze byli na mieście, pomagali żandarmom w poszukiwaniach. Kawiarnia była niemal pusta, wokół panował nieład, nie zdążono jeszcze posprzątać. Kwaśny zapach zimnego tytoniu drapał w gardle. Pod nogami walały się niedopałki papierosów, wióry i potłuczone kieliszki.

Komisarz wyjął tymczasem z portfela nakaz aresztowania in blanco.

— Jedno pana słowo, panie merze, i...

— Ciekaw jestem, kogo zamierza pan aresztować...

— Emmo, poproszę o pióro i atrament...

Siedział pykając z fajki. Usłyszał słowa mera: „To blef!”, wypowiedziane tak, by dotarły do komisarza.

Nie zmieszał się jednak i napisał charakterystycznymi wielkimi, spłaszczonymi nieco literami: „...Ernest Michoux, administrator Spółki Handlu Nieruchomościami Sables Blancs...”

\*

Zrobiło to wrażenie raczej komiczne niż dramatyczne. Mer odczytał tekst do góry nogami.

— Gotowe! Ponieważ pan nalegał, zatrzymuję doktora... — powiedział Maigret.

Doktor spojrział na nich obu i uśmiechnął się nieszczercze, jak ktoś, kto nie wie, jak zareagować na żart. Komisarz obserwował Emmę, która szła w kierunku kasy i odwróciła się raptownie. Mniej błada niż zwykle, nie mogła powstrzymać dreszczu zadowolenia.

— Sądzę, komisarzu, że zdaje pan sobie sprawę z powagi tego...

— To mój zawód, panie merze.

— I wszystko, co uznaje pan za stosowne zrobić po tym, co się tu wydarzyło w ciągu ostatnich dni, to zatrzymanie jednego z moich przyjaciół... moich znajomych, ściślej mówiąc... i do tego jednego z najznakomitszych obywateli Concarneau, człowieka, który...

— Macie tu wygodne więzienie?

Przez cały ten czas Michoux wydawał się zaabsorbowany jedynie trudnością, jaką sprawiało mu przełknięcie śliny.

— Oprócz posterunku policji obok merostwa jest tylko żandarmeria na starym mieście...

Wszedł właśnie inspektor Leroy. Stał jak wryty, gdy Maigret oznajmił mu całkiem swobodnym tonem:

— Niech pan będzie tak dobry i odprowadzi doktora na posterunek żandarmerii. Tylko dyskretnie! Nie trzeba mu zakładać kajdanek... Proszę go umieścić w areszcie i zadbać o to, by mu na niczym nie zbywało.

— To czyste szaleństwo! — wybełkotał doktor. — Nic nie rozumiem... Ja... To niesłychane! To podłość!

— Do licha! — mruknął Maigret. I dodał zwracając się do mera:

— Nie sprzeciwiam się dalszym poszukiwaniom tego włóczęgi... To trochę rozerwie mieszkańców... Może nawet okaże się użyteczne... Ale niech pan nie przywiązuje do tego zbyt wielkiej wagi. Proszę uspokoić ludzi.

— Czy wie pan, że gdy zatrzymano go dziś rano, miał przy sobie nóż sprężynowy?

— Możliwe...

Maigret zaczął się niecierpliwić. Wstał, założył swój ciężki płaszcz i przyglądał rękawem melonik.

— Do zobaczenia, panie merze. Będę pana o wszystkim informował. I jeszcze jedna rada: lepiej nie opowiadać zbyt wiele dziennikarzom... W gruncie rzeczy nie ma co robić tyle szumu... Idzie pan?

Ostatnie słowa skierował do młodego posterunkowego, który spojrział na mera, jakby chciał powiedzieć: „Pan wybaczy. Mam obowiązek towarzyszyć mu...”

Inspektor Leroy kręcił się wokół doktora jak ktoś, kto czuje się zakłopotany powierzonym mu zadaniem.

Mijając Emmę, Maigret poklepał ją po policzku. Przeszedł przez rynek nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia przechodniów. „ — Tędy?

— Tak... Trzeba obejść baseny portowe. Będziemy tam za pół godziny...

Rybacy daleko mniej niż mieszkańcy miasta poruszeni byli dramatem, jaki rozgrywał się wokół kawiarni „Amiral”. Kilkanaście kutrów, korzystając ze względnej pogody, kierowało się sterując śrubówką w stronę wyjścia z portu, gdzie stawały żagle.

Funkcjonariusz policji spoglądał na Maigreta niczym uczeń, który chce się przypodobać nauczycielowi.

— Wie pan, nasz mer grywa z doktorem w karty przynajmniej dwa razy w tygodniu. To musiał być dla niego wstrząs.

— A co mówią ludzie?

— To zależy od ludzi. Ci szarzy, rybacy i robotnicy, wcale się nie przejmują. Właściwie to prawie cieszą się z tego, co się dzieje... Bo doktor, pan Le Pommeret i pan Servières nie mają zbyt

dobrej reputacji. Oczywiście, to wielcy panowie... Nikt by się nie ośmielił zwrócić im uwagi, ale nadużywali trochę swoich przywilejów, deprawowali młode robotnice. Latem, gdy przyjeżdżali ich przyjaciele z Paryża, było jeszcze gorzej... Zawsze gotowi byli upić się i awanturować na ulicach o drugiej nad ranem, jakby miasto do nich należało. Często się na nich skarżono, szczególnie na pana Le Pommeret, który nie przepuszczał żadnej spódniczce. Przykro mi o tym mówić, ale... Fabryki stoją, pracy nie ma... Gdy się ma pieniądze... Wszystkie „te dziewczyny...

— Kto w takim razie jest poruszony?

— Inni! Mieszczanie. Kupcy, którzy ocierają się o grupę z kawiarni „Amiral”. To przecież jakby centrum miasta. Nawet mer tam przychodził... Pochlebiała mu uwaga, z jaką słuchał go Maigret.

— Gdzie jesteśmy?

— Właśnie wyszliśmy z miasta. Wybrzeże jest tu już trochę opustoszałe. Wszędzie tylko skały, lasek sosnowy, kilka willi, w których latem mieszkają paryżanie. Nazywamy to miejsce przylądkiem Cabelou.

— A skąd pomyśl, żeby przetrząsnąć ten zakątek?

— Gdy kazał nam pan szukać włóczęgi, który mógłby być właścicielem żółtego psa, zaczęliśmy od przeszukania starych statków w tylnej części portu. Od czasu do czasu nocuje tam jakiś łazik. W zeszłym roku spłonął kuter, bo jakiś włóczęga zapomniał zgasić ognisko, które rozpałił, żeby się ogrzać.

— Nic nie znaleźliście?

— Nic... To mój kolega przypomniał sobie o starym posterunku obserwacyjnym na Cabelou. Już dochodzimy... Widzi pan tę kwadratową budowlę z ciosanego kamienia? Na ostatnim występie skalnym... Pochodzi z tej samej epoki co fortyfikacje starego miasta. Proszę przejść tędy. Uwaga na nieczystości! W dawnych czasach mieszkał tu wartownik, tak zwany obserwator, którego zadaniem było sygnalizowanie zbliżających się statków. Widok stąd jest bardzo rozległy. Można obserwować tor wodny Glenan, jedyny, którym da się wpłynąć na redę. Jakies pięćdziesiąt lat temu miejsce to straciło swoje znaczenie.

Przez pozbawione drzwi wejście Maigret dostał się do środka pomieszczenia, którego podłogę stanowiła ubita ziemia. Z jednej strony przez wąskie strzelnice można było obserwować pełne morze, z drugiej było tylko jedno okno, bez szyb i bez ramy.

Na kamiennych ścianach napisy wyryte ostrzem noża. Na ziemi brudne papiery i mnóstwo odpadków.

— Proszę! Przez blisko piętnaście lat mieszkał tu pewien człowiek, zupełnie sam. Pomylenieć, dzikus. Sypiał w kącie nie zważając na mróz, wilgoć, nawałnice, które wiewały przez strzelnice strumienie wody. Była to pewna atrakcja... Paryżanie przychodzili tu latem, żeby „go sobie obejrzeć, dawali mu drobne monety... Sprzedawca kart pocztowych wpadł na pomysł, by go sfotografować i sprzedawać zdjęcia przy wejściu. Ten człowiek zmarł w czasie wojny... Nikomu nie przyszło do głowy, żeby tu posprzątać. Pomyślałem wczoraj, że jeśli ktoś się ukrywa w tej okolicy, to może tutaj...

Maigret wszedł na górę po wąskich schodkach wyżłobionych w murze i dostał się do budki strażniczej, a właściwie otwartej ze wszystkich stron granitowej wieżyczki, pozwalającej podziwiać całą okolicę.

— To stanowisko obserwacyjne. Zanim wynaleziono latarnię morską, rozpalano na tarasie ogień... Przyszedłem tu dziś rano z kolegą, bardzo wcześnie. Zbliżyliśmy się na palcach. Na dole, w tym samym miejscu, gdzie sypiał kiedyś ten obłąkany, zobaczyliśmy mężczyznę: spał i chrapał. Olbrzym! Jego sapanie słychać było na piętnaście metrów. Zdołaliśmy założyć mu kajdanki, zanim się obudził.

Zeszli do kwadratowego pomieszczenia, gdzie na skutek stałych przeciągów panował przenikliwy chłód.

— Bronił się?

— Ani trochę. Kolega poprosił go o dokumenty, nic nie odpowiedział. Żeby pan go widział! On sam jest silniejszy niż my obaj. Cały czas trzymałem dłoń na kolbie rewolweru. A ręce! Pan ma wielkie, prawda? Niech pan spróbuje sobie wyobrazić dwa razy potężniejsze, pokryte tatuażami.

— Zauważył pan, co przedstawiają te tatuaże?

— Widziałem tylko kotwicę na lewej dłoni. I litery „SS” z obu stron... Ale były też jakieś skomplikowane rysunki, może wąż? Nie ruszaliśmy tego, co leży na ziemi. Proszę spojrzeć!

Było tam wszystko: butelki po winie i innych luksusowych trunkach, puste puszki po konserwach i ze dwadzieścia jeszcze nie otwartych.

Poza tym: popiół rozpalonego na środku ogniska, tuż obok ogryziony udziec. Kromki chleba. Trochę rybich ości. Muszla Saint-Jacques i szczypce homara.

— To mi biesiada, co? — zachwycał się młody policjant, który pewnie jeszcze nigdy w życiu nie sprawił sobie podobnej uczty. — To wyjaśnia, dlaczego otrzymywaliśmy ostatnio tyle skarg. Nie przykładaliśmy do tego większej wagi, same drobne sprawy: trzykilogramowy bochenek chleba skradziony z piekarni... Koszyk merlanów, który zniknął z barki rybackiej... Prunier, kierownik magazynu, twierdził, że zwędzono mu w nocy homary...

Maigret kalkulował w myśli, usiłując określić, ile dni potrzebował mężczyzna ze zdrowym apetytem, by pochłonąć to wszystko, czego resztki tam oglądali.

— Tydzień... — mruknął. — Tak, wliczywszy udziec... A pies? — zapytał nagle.

— Właśnie! Nie znaleźliśmy go. Są ślady łap na ziemi, ale psa nie widzieliśmy. Wie pan co? Mer musi być bardzo wzburzony z powodu doktora. Nie zdziwiłbym się, gdyby wysłał telegram do Paryża, jak zapowiedział...

— Ten człowiek był uzbrojony?

— Nie! Przeszukałem mu kieszenie, Piedboef, mój kolega, przytrzymał w tym czasie kajdanki, mierząc do niego drugą ręką z rewolweru. W kieszeni spodni miał pieczone kasztany. Cztery czy pięć... Pewnie zabrane z wózka, który stoi przed kinem w sobotę i niedzielę wieczorem... Poza tym trochę drobnych... Niecałe dziesięć franków. I nóż. Ale nic strasznego, zwykły nóż, jakiego marynarze używają do krojenia chleba.

— Nic nie mówił?

— Zupełnie nic. Myśleliśmy nawet, że to obłąkany, jak tamten... Patrzył na nas jak niedźwiedź. Brody nie goił z osiem dni. Dwa zęby z przodu złamane...

— A ubranie?

— Trudno powiedzieć... Jakiś stary garnitur... Nie wiem nawet, czy pod spodem miał koszulę, czy trykot marynarski. Pozwolił się prowadzić bez oporu... Byliśmy dumni z naszej zdobyczy. Mógł uciec z dziesięć razy, zanim dotarliśmy do miasta. Przestaliśmy mieć się na baczności, a wtedy jednym ruchem zerwał łańcuchy kajdanek. Czułem się, jakby mi wyrwano prawą dłoń. Jest jeszcze ślad... A jeżeli chodzi o doktora Michoux...

— Tak?

— Wie pan, że jego matka ma wrócić dzisiaj albo jutro... To wdowa po deputowanym. Mówią, że ma długie ręce... I jest przyjaciółką żony mera...

Maigret obserwował przez strzelnicę szary ocean. Małe zagłowce przemykały między przylądkiem Cabelou a ledwie widoczną podwodną skałą, zmieniały hals, rzucały sieci i ciągnęły je przez ponad milę.

— Pan naprawdę sądzi, że to doktor?

— Chodźmy — rzekł komisarz.

Był przyływ. Gdy wychodzili, fale zaczynały już lizać platformę. Sto metrów dalej jakiś chłopak przeskakiwał ze skały na skałę przeszukując łożynowe pułapki na homary, które ustawił we wgłębieniach skalnych. Policjant nie dawał za wygraną.

— Najdziwniejsze, że napadnięto pana Mostaguena, najlepszego człowieka w Concarneau. Chciano nawet, żeby został radcą generalnym... Zdaje się, że przeżyje, ale kuli nie da się usunąć... Przez całe życie będzie nosić w brzuchu kawał ołowiu! I pomyśleć, że gdyby nie chciał zapalić cygara...

Nie obchodzili teraz basenów, lecz przebyli część portu promem, który kursował między kanałem a starym miastem.

Niedaleko od miejsca, gdzie dzień wcześniej młodzi ludzie obrzucali kamieniami żółtego psa, Maigret dostrzegł mur, monumentalną bramę zwieńczoną flagą i napis: „Żandarmeria Narodowa”.

Przeszedł przez dziedziniec budynku pochodzącego z czasów Colberta. W biurze inspektor Leroy dyskutował z brygadierem.

— Jak doktor? — spytał Maigret.

— Właśnie! Bygadier nie chce nic słyszeć o sprowadzaniu posiłków z miasta...

— Chyba że na pana odpowiedzialność! — powiedział brygadier do Maigreta. — I prosiłbym pana o oświadczenie na piśmie...

Na dziedzińcu panował klasztorny spokój. Fontanna bulgotała cicho.

— Gdzie on jest?

— Tam, na prawo... Popchnie pan tamte drzwi... Drugie drzwi w korytarzu. Chce pan, żebym otworzył? Telefonował mer zalecając, by więzień traktowany był z największym szacunkiem...

Maigret drapał się po brodzie. Inspektor Leroy i policjant, obaj mniej więcej w tym samym wieku, przyglądali mu się z jednakową nieśmiałą ciekawością.

Parę chwil później komisarz wszedł do celi o ścianach bielonych wapnem, która nie wyglądała wcale smutniej niż sala w koszarach.

Michoux, który siedział przy białym drewnianym stoliku, wstał na jego widok, zawahał się przez moment i powiedział patrząc w bok:

— Sądzę, komisarzu, że odegrał pan tę komedię tylko po to, by uniknąć nowej tragedii chroniąc mnie przed... przed atakami...

Maigret zauważył, że nie odebrano mu szelek, chustki ani sznurowadeł, jak to się zawsze czyni. Czubkiem buta przysunął sobie krzesło, usiadł, nabił fajkę i mruknął dobrodusznie:

— Do licha! Ależ niech pan siada, doktorze.

## VI TCHÓRZ

— Czy pan jest przesądny, komisarzu?

Maigret, siedzący okrakiem na krześle, z łokciami na oparciu, zrobił minę, która mogła znaczyć wszystko. Doktor nie usiadł.

— Myślę, że w gruncie rzeczy wszyscy stajemy się przesądni w pewnym momencie, w momencie zagrożenia...

Michoux kaszlnął w chusteczkę, spojrział na nią z niepokojem i ciągnął dalej:

— Osiem dni temu powiedziałbym panu, że nie wierzę w przepowiednie... A jednak! Zdarzyło się to jakieś pięć lat temu... Byłem z paroma przyjaciółmi na kolacji u pewnej paryskiej aktorki. Przy kawie ktoś zaproponował, żeby powróżyć z kart. Wie pan, co mi przepowiedziano? Roześmiałem się wtedy... Rozśmieszyło mnie to tym bardziej, że tak odbiegało od starej śpiewki: młoda blondynka, życzliwy starszy pan, list z daleka... A ja usłyszałem: „Będzie pan miał okropną śmierć... Śmierć gwałtowną... Niech pan się strzeże żółtych psów...”

Ernest Michoux nie patrzył na komisarza, rzucił mu tylko przelotne spojrzenie. Maigret siedział nieporuszony. Olbrzym na krzeselku wyglądał jak ucieleśnienie spokoju.

— Nie dziwi to pana? Lata mijały, a ja nigdy nie słyszałem o żółtym psie. W piątek wydarzyła się tragedia. Ofiarą był jeden z moich przyjaciół. Mogłem równie dobrze jak on szukać osłony za tym progiem i dostać kulę. I oto pojawia się żółty pies... Inny przyjaciel znika w niezwykłych okolicznościach... A żółty pies ciągle krąży. Wczoraj przyszła kolej na Le Pommereta... Żółty pies! Co pan chce, to dla mnie wstrząs.

Nigdy nie powiedział aż tyle jednym tchem. W miarę jak mówił, wracała mu równowaga. Komisarz mruknął tylko dla zachęty:

— Oczywiście... Oczywiście...

— Czyż nie jest to niepokojące? Zdaję sobie sprawę, że robię na panu wrażenie tchórze. Przyznaję, bałem się... Jakiś nieokreślony lęk chwycił mnie za gardło po tamtej pierwszej tragedii. Zwłaszcza że pojawił się żółty pies...

Chodził po celi drobnymi krokami patrząc w podłogę. Jego twarz ożywiła się.

— Chciałem już prosić pana o ochronę, ale bałem się, że się pan tylko uśmiechnie. A jeszcze bardziej obawiałem się pana pogardy. Bo ludzie silni gardzą tchórzami.

Jego głos stał się ostrzejszy.

— A ja, komisarzu, przyznaję, jestem tchórzem! Boję się od czterech dni, od czterech dni dręczy mnie strach. To nie moja wina! Wystarczająco znam się na medycynie, żeby dokładnie zdawać sobie sprawę z mojego położenia. Po urodzeniu trzeba było mnie umieścić w inkubatorze. Potem zaliczyłem wszystkie możliwe choroby wieku dziecięcego. A gdy wybuchła wojna, lekarze, którzy badali pięciuset ludzi dziennie, uznali, że jestem zdolny do służby, i wysłali mnie na front. A ja nie tylko miałem słabe płuca z bliznami po dawnych ogniskach gruźlicy, ale dwa lata wcześniej usunięto mi jedną nerkę. Bałem się! Mało nie oszalałem ze strachu! Sanitariusze zabrali mnie, gdy omal nie zostałem zasypany w leju po wybuchu pocisku. W końcu stwierdzono, że nie nadaję się do służby. To, co panu opowiadam, nie świadczy o mnie zbyt dobrze. Ale obserwowałem pana. Mam wrażenie, że potrafi pan zrozumieć... Silnemu łatwo gardzić tchórzem. Jego nie interesują przyczyny tchórzostwa... Wiedziałem, że nie czuje pan zbyt sympatii do naszej grupy z kawiarni „Amiral”. Powiedziano panu, że zajmuję się sprzedażą gruntów... Syn byłego deputowanego... doktor medycyny... I te wieczory przy kawiarnianym stoliku, w

towarzystwie podobnych nieudaczników... Ale cóż mogłem zrobić? Rodzice wydawali mnóstwo pieniędzy, a przecież wcale nie byli bogaci. To się często zdarza w Paryżu. Wychowano mnie w luksusie... Słynne uzdrowiska... Potem zmarł ojciec, a matka zaczęła zajmować się spekulacjami giełdowymi, kombinowała. Była ciągle bardzo wyniosła, żyła jak wielka dama, ale nękali ją wierzyciele... Pomagałem jej. Tylko do tego byłem zdolny. Te parcele... Żadnego prestiżu... I to życie tutaj... Notable! Tyle że trochę niesolidni... Od trzech dni obserwuje mnie pan, a ja pragnę z panem pomówić otwarcie. Byłem żonaty. Żona zażądała rozwodu, bo chciała żyć z kimś, kto ma większe ambicje... Tylko jedna nerka... Przez trzy, cztery dni w tygodniu mam tylko tyle siły, by zwlec się z łóżka na fotel. Opadł zmęczony na krzesło.

— Emma pewnie panu mówiła, że jestem jej kochankiem. Głupio, prawda? Czasami potrzebuje się kobiety... Nie wszyscy muszą o tym wiedzieć... Oszalałbym w końcu w tej kawiarni... Żółty pies... Zniknięcie Servières'a... Siady krwi w samochodzie. A przede wszystkim ta okropna śmierć Le Pommereta... Dlaczego on? Dlaczego nie ja? Jeszcze dwie godziny wcześniej siedzieliśmy razem, przy tym samym stoliku, pijąc z takich samych kieliszków. Miałem przeczucie, że jeśli wyjdę z domu, przyjdzie kolej na mnie. Potem poczułem, że krąg się zacieśnia, że nawet w hotelu, nawet zamknięty w swoim pokoju nie uniknę niebezpieczeństwa... Gdy zobaczyłem, jak pan podpisuje nakaz aresztowania, ogarnęła mnie radość. A jednak...

Spojrzał na otaczające go ściany, na przegrodzone trzema metalowymi sztabami okno, które wychodziło na dziedziniec.

— Powinienem przesunąć pryczę, umieszczę ją w tym kącie... Jak to możliwe, tak, jak to możliwe, że już pięć lat temu mówiono mi o tym żółtym psie? Chyba nie było go jeszcze wtedy na świecie? Boję się, komisarzu! Przyznaję się. Krzyczę panu, że się boję! Nieważne, co pomyślą ludzie, gdy dowiedzą się, że jestem w więzieniu. Nie chcę tylko jednego: śmierci! Ktoś na mnie czyha, ktoś, kogo nie znam. Zabił już Le Pommereta. Zabił niewątpliwie Goyarda. Strzelił do Mostaguena. Dlaczego? Niech mi pan powie! Dlaczego? Pewnie jakiś szaleniak! I nie udało się go zastrzelić! Jest na wolności! Krąży być może wokół nas. Wie, że tu jestem. Przyjdzie ze swoim potwornym psem, który patrzy jak człowiek...

Maigret podniósł się z wolna, stuknął fajką o obcas. A doktor powtórzył żalonym głosem:

— Wiem, że uważa mnie pan za tchórza. No proszę! Jestem pewny, że będę tej nocy znosił piekielne męki z powodu mojej nerki...

Maigret tkwił tam jak antyteza więźnia, podniecenia, gorączki, choroby, antyteza tego odrażającego i chorobliwego tchórzostwa.

— Przysłać panu lekarza?

— Nie! Gdybym wiedział, że ktoś ma przyjść, bałbym się jeszcze bardziej! Spodziewałbym się, że będzie to właśnie on, człowiek z psem, szaleniak, morderca...

Zaczął już szczerkać zębami.

— Sądzi pan, że uda się panu go schwytać albo zastrzelić jak wściekłe zwierzę? Bo on jest wściekły! Nie zabija się ot, tak sobie, bez powodu.

Jeszcze trzy minuty i nastąpi atak nerwowy. Maigret wolał wyjść, a doktor śledził go wzrokiem z głową wtuloną w ramiona i zaczerwienionymi powiekami.

\*

— Dobrze mnie pan zrozumiał, brygadierze? Niech nikt oprócz pana nie wchodzi do jego celi. Niech pan sam przynosi mu posiłki i wszystko, o co poprosi. Ale proszę nie zostawiać mu niczego, co mogłoby posłużyć do popełnienia samobójstwa. Niech pan mu zabierze sznurowadła, krawat... Proszę kazać pilnować dziedzińca w dzień i w nocy. I okazywać względy... Wielkie względy...

— Taki dystyngowany człowiek! — westchnął brygadier żandarmerii. — Sądzi pan, że to on...

— Że to on miał być kolejną ofiarą? Tak! Pan odpowiada za jego życie!

Maigret odszedł wąską uliczką brodząc przez kałuże. Znało go już całe miasto. Zasłony poruszały się, gdy przechodził. Dzieciaki przerywały zabawę, by spojrzeć na niego z trwożnym szacunkiem.

Właśnie przeszedł zwodzony most, który łączył stare miasto z nowym, gdy spotkał szukającego go inspektora Leroy.

— Co nowego? Może schwytano przynajmniej naszego niedźwiedzia?

— Jakiego niedźwiedzia?

— Człowieka z wielkimi stopami.

— Nie! Mer kazał zaprzestać poszukiwań, bo niepotrzebnie podniecają mieszkańców. Pozostawił tylko paru żandarmów na straży w strategicznych punktach... Ale nie o tym chciałem z panem mówić. Chodzi o tego dziennikarza, Goyarda, zwanego Servières'em. Właśnie przyjechał agent handlowy, który go zna i twierdzi, że spotkał go wczoraj w Breście... Goyard udał, że go nie zauważył, i odwrócił głowę.

Spokój, z jakim Maigret przyjął tę nowinę, zdziwił inspektora.

— Mer jest przekonany, że agent się pomylił. W miastach jest tylu różnych ludzi. A wie pan, co powiedział półgłosem do swego zastępcy, mając zapewne nadzieję, że go usłyszę? Dosłownie: „Zobaczy pan, że komisarz pójdzie tym fałszywym tropem i wyjedzie do Brestu zostawiając nam na karku prawdziwego mordercę”.

Maigret przeszedł w milczeniu kilkanaście kroków. Na rynku rozbierano właśnie stragany.

— Już mu chciałem powiedzieć, że...

— Że co?

Leroy zaczerwienił się i odwrócił głowę.

— Właśnie! Sam nie wiem... Ja także odniosłem wrażenie, że nie przykłada pan zbyt wielkiej wagi do schwytania tego włóczęgi.

— Jak się ma Mostaguen?

— Lepiej. Nie może zrozumieć, dlaczego go napadnięto. Prosił żonę o przebaczenie... Za to, że został tak długo w kawiarni! Że był prawie pijany! Przysięgał z płaczem, że nie wypije już ani kropli alkoholu!

Maigret przystanął naprzeciwko portu, pięćdziesiąt metrów od hotelu „Amiral”. Powracające z połowu kutry okręwały groblę portową, opuszczały brązowe żagle i posuwały się wolno do przodu sterując śrubówką.

U stóp murów starego miasta odpływ odsłaniał muliste łachy pełne odpadków i starych rondli.

Słońce prześwitywało przez jednolite sklepienie chmur.

— A pan co o tym sądzi, Leroy? Inspektor był jeszcze bardziej zakłopotany.

— Nie wiem... Wydaje mi się, że gdybyśmy zatrzymali tego człowieka... Niech pan zwróci uwagę, że żółty pies znowu zniknął... Co on robił w willi doktora? Mogły tam być różne trucizny. Dedukuję stąd...

— Tak, oczywiście! Tylko że ja nigdy nie dedukuję.

— Chciałbym jednak zobaczyć z bliska tego włóczęgę. Sądząc po śladach to olbrzym...

— Właśnie!

— Co pan ma na myśli?

— Nic!

Maigret nie ruszył się i z widocznym zachwytem kontemplował panoramę małego portu: na lewo przylądek Cabelou z laskiem sosnowym i skalistymi występami, czerwone i czarne boje, szkarłatne błota znaczące przejście aż do wysp Glenan, niewidocznych teraz za mgłą.

Inspektor miał jeszcze wiele do powiedzenia.

— Telefonowałem do Paryża, żeby dowiedzieć się czegoś o Goyardzie, który mieszkał tam dość długo.

Maigret posłał mu spojrzenie pełne życzliwej ironii, a Leroy, tknięty do żywego, wyrecytował szybko:

— Wiadomości są bardzo dobre albo złe... Rozmawiałem z byłym brygadierem obyczajówki, który znał go osobiście. Podobno działał dość długo jako drugorzędny dziennikarz. Był redaktorem kroniki towarzyskiej, potem kierownikiem literackim małego teatru... Potem dyrektorem kabaretu na Montmartrze... Dwa bankructwa... Przez dwa lata był redaktorem naczelnym jakiegoś prowincjonalnego dziennika... W Nevers, zdaje się... W końcu został kierownikiem nocnego lokalu. „Człowiek, który zawsze wypłynie na powierzchnię”. Dokładnie tak to określił brygadier. Co prawda dodał potem: „Pocziwy chłop, gdy zdał sobie sprawę, że w końcu pójdzie z torbami albo narobi sobie kłopotów, wołał zanurzyć się znowu w życiu prowincji...”

— No więc?

— Więc zastanawiam się, dlaczego upozorował napad. Bo oglądałem jeszcze raz samochód. Są plamy krwi, prawdziwe... A jeśli rzeczywiście został napadnięty, dlaczego nie daje znaku życia, skoro spokojnie przechadza się teraz po Breście?

— Doskonale!

Inspektor spojrzał bacznie na Maigreta, chcąc sprawdzić, czy ten nie żartuje. Ale nie! Komisarz był poważny. Wpatrywał się w odległą słoneczną plamę, która pojawiła się właśnie na powierzchni morza.

— A jeśli chodzi o Le Pommereta...

— Dowiedział się pan czegoś?

— Jego brat przyszedł do hotelu porozmawiać z panem. Nie miał czasu, żeby czekać... Obmawiał zmarłego w straszny sposób. Postawił bardzo poważny zarzut, przynajmniej według niego: skończony leń. Dwie namiętności: kobiety i polowania. A do tego mania zaciągania długów i odgrywania wielkiego pana. I jeszcze jeden drobiazg, jeden z wielu. Jego brat, który jest jednym z największych przemysłowców w tym rejonie, oświadczył mi: „Mnie wystarcza, że ubieram się w Breście. Nie są to może rzeczy luksusowe, ale solidne, wygodne. Yves jeździł zamawiać ubrania do Paryża. I musiał mieć buty zrobione u znakomitego szewca! Nawet moja żona nie nosi pantofli na miarę”.

— Zabawne! — zauważył Maigret ku wielkiemu zdziwieniu, jeśli nie oburzeniu, swego kolegi.

— Dlaczego?

— Wspaniałe, jeśli pan woli. Jak się pan sam przed chwilą wyraził, naprawdę zanurzamy się w życiu prowincji. Kwestia, czy Le Pommeret nosił buty na miarę, czy gotowe! Nieistotne drobiazgi... A jednak, może mi pan wierzyć lub nie, tu właśnie tkwi sedno rzeczy. Chodźmy na aperitif, Leroy! Tak jak oni co dzień... Do kawiarni „Amiral”!

Inspektor znów spojrzał na szefa, zastanawiając się, czy ten nie kpi z niego. Oczekiwał pochwał za podjęte rano działania i nowe pomysły. A Maigret zachowywał się tak, jakby nic sobie z tego nie robił!

\*

Nastąpiło poruszenie, jakie wywołuje wejście profesora do klasy licealnej pełnej rozgadanych uczniów. Rozmowy umilkły. Dziennikarze skoczyli ku komisarzowi.

— Czy możemy przekazać wiadomość, że doktor został aresztowany? Złożył jakieś zeznania?

— Żadnych!

Maigret odsunął ich ruchem ręki i rzucił Emmie:

— Dwa pernod, mała...

— Ale skoro pan aresztował Ernesta Michoux?

— Chcecie znać prawdę?

Przygotowali już notesy. Czekali z piórami w ręku.

— A więc, nie znamy jeszcze prawdy. Może poznamy ją jutro... A może nie...

— Podobno Jean Goyard...

— Żyje? Tym lepiej dla niego!

— Ale przecież jakiś człowiek się ukrywa. Poszukuje się go bezskutecznie...

— Co dowodzi wyższości zwierzyny nad myśliwym.

Maigret przytrzymał Emmę za mankiet i powiedział łagodnie:

— Podaż mi obiad w pokoju...

Wypił aperitif jednym haustem i wstał.

— I jeszcze dobra rada, panowie! Żadnych przedwczesnych wniosków! A przede wszystkim żadnych dedukcji...

— Ale kto jest winny?

Wzruszył ramionami i westchnął:

— Któż to wie?

Był już przy schodach. Inspektor Leroy rzucił mu pytające spojrzenie.

— Nie, nie, chłopcze. Niech pan zje przy wspólnym stole. Ja muszę odpocząć.

Usłyszeli jego ciężkie kroki na schodach. Dziesięć minut później Emma poszła na górę z talerzem pełnym zakąsek.

Potem zaniósła jeszcze muszlę Saint-Jacques, pieczeń wołową i szpinak.

Rozmowa w sali jadalnej zamierała. Jeden z dziennikarzy został poproszony do telefonu. Mówi:

— Tak, około czwartej. Mam nadzieję, że artykuł będzie sensacyjny. Jeszcze nie! Musimy czekać...

Leroy został sam przy stole. Jadł, jak przystało na dobrze wychowanego młodego człowieka, wycierając co chwila usta brzegiem serwetki.

Ludzie na rynku obserwowali wejście do kawiarni „Amiral”, jakby przeczuwali niejasno, że coś się wydarzy.

Żandarm stał oparty o ścianę na rogu uliczki, w której zniknął rano włóczęga.

— Pan mer prosi komisarza do telefonu! Leroy polecił Emmie:

— Niech go pani poprosi...

Ale kelnerka wróciła oznajmiając:

— Już go nie ma!

Inspektor popędził na górę przeskakując po cztery stopnie. Wrócił pobladły, chwycił słuchawkę.

— Halo! Tak, panie merze! Nie wiem... Ja... Jestem bardzo zaniepokojony... Już go tu nie ma... Halo! Nie! Nic więcej nie mogę panu powiedzieć... Zjadł obiad w pokoju... Nie widziałem, żeby schodził... Ja... Zaraz do pana zatelefonuję.

Leroy otarł czoło serwetką, którą przez cały czas trzymał w ręku.

## VII

### KOCHANKOWIE PRZY ŚWIECY

Inspektor wrócił do swego pokoju dopiero pół godziny później. Na stole znalazł bilecik pokryty znakami alfabetu Morse'a.

„Niech pan wejdzie wieczorem około jedenastej na dach, tak by nikt pana nie widział. Będę tam. Żadnych hałasów. Proszę zabrać broń. Niech pan powie, że wyjechałem do Brestu, skąd dzwoniłem do pana. I proszę nie opuszczać hotelu. Maigret”.

Tuż przed jedenastą Leroy zdjął buty, włożył filcowe pantofle kupione po południu z myślą o tej wyprawie. Był nią bardzo przejęty.

Na drugim piętrze nie było schodów, tylko drabinka umocowana tak, że sięgała do klapy w suficie. Wyżej, na poddaszu pełnym lodowatych przeciągów, inspektor odważył się zapalić zapalną.

Parę chwil później wyszedł na zewnątrz przez okienko, ale nie ośmielił się od razu zejść na gzyms. Wszystko tam było zimne. Palce sztywniały mu przy dotknięciu cynkowej blachy. Nie założył płaszcza, by nie krępować sobie ruchów.

Gdy jego oczy przywykły do mroku, wydało mu się, że dostrzega ciemną, masywną postać, przyczajoną niczym olbrzymie zwierzę. Jego nozdrza wyczuły zapach dymu fajkowego. Syknął cicho.

Chwilę potem stał skulony na gzymsie obok Maigreta. Nie było stamtąd widać ani miasta, ani morza. Znajdowali się na dachu po stronie przeciwległej do bulwaru, na brzegu czarnej szczeliny, czyli dokładnie ponad słynną uliczką, w którą umknął włóczęga z wielkimi stopami.

Wszystkie płaszczyzny były nieregularne. Niektóre dachy znajdowały się bardzo nisko, inne — na wysokości kilku metrów. Tu i ówdzie w oknie paliło się światło. W niektórych opuszczono story, a na ich tle rozgrywały się sceny niczym z chińskiego teatru cieni. W jednym z pokoi, dość odległym, jakaś kobieta kąpała małe dziecko w emaliowanej waniencie.

Komisarz poruszył się, a właściwie podpełzł, tak że jego usta znalazły się tuż przy uchu kolegi.

— Uwaga! Żadnych gwałtownych ruchów. Gzyms nie jest zbyt pewny, a pod nami jest rynna, która tylko czeka, żeby się zwalić z łoskotem na ziemię... Gdzie dziennikarze?

— Są na dole. Z wyjątkiem tego, który szuka pana w Breście, przekonany, że poszedł pan śladem Goyarda...

— A Emma?

— Nie wiem. Nie zwróciłem na nią uwagi. Po kolacji podała mi kawę.

Dziwnie się czuli, przycupnięci w swojej kryjówce na dachu budynku pełnego życia, pełnego ludzi, którzy krążyli po jasnych i ciepłych pokojach i nie musieli mówić szeptem.

— Dobrze... Proszę się odwrócić ostrożnie w kierunku pustego domu. Ostrożnie...

Był to drugi dom na prawo, jeden z nielicznych, które dorównywały wysokością hotelowi. Choć jego ściana pogrążona była w mroku, inspektor odniósł wrażenie, że w szybie pozbawionego zasłony okna na drugim piętrze odbija się blade światło.

Gdy przyjrzał się uważniej, spostrzegł, że nie jest to refleks światła z zewnątrz, ale słaby promyk wewnątrz pomieszczenia. Z wolna zaczął rozróżniać szczegóły.

Wywoskowana podłoga... Wypalona do połowy świeca, której knot płonął równo, otoczony kręgiem światła.

— On tam jest — powiedział nagle, podnosząc bezwiednie głos.

— Szszsz!... Tak...

Ktoś leżał na gołej podłodze, do połowy oświetlony, do połowy ukryty w mroku. Widać było ogromny but, potężną pierś obciążoną marynarską koszulką.

Leroy wiedział, że na końcu uliczki stoi żandarm, drugi na rynku, jeszcze jeden chodzi tam i z powrotem po bulwarze.

— Chce go pan zatrzymać?

— Nie wiem. Śpi tam już od trzech godzin.

— Ma broń?

— Rano nie miał.

Rozmawiali tak cicho, że z trudem mogli się zrozumieć. Słysząc było tylko niewyraźny szmer zmieszany z szumem oddechów.

— Na co pan czeka?

— Nie wiem... Ciekaw jestem, dlaczego zapalił świecę, choć jest osaczony i śpi. Uwaga!

Na ścianie pojawił się żółty kwadrat światła.

— Ktoś zapalił światło w pokoju Emmy, tuż pod nami. Odbija się...

— Nie jadł pan kolacji, panie komisarzu?

— Zabrałem chleb i kiełbasę. Nie zimno panu?

Obaj byli zziębnięci. Na niebie pojawiał się regularnie snop światła latarni morskiej.

— Zgasło...

— Tak... Szz!...

Pięć minut ciszy, ponurego wyczekiwania. Potem Leroy poszukał dłonią ręki komisarza i ścisnął znacząco.

— Na dole...

— Widziałem...

Cień na białym wapnem murze, który odgradzał ogród pustego domu od uliczki.

— Zaraz się z nim spotka... — nie wytrzymał Leroy.

Mężczyzna na górze spał ciągle, tuż obok świecy. Zaszleścił krzak porzeczek w ogrodzie. Kot umknął po rynnie.

— Nie ma pan zapalniczki?

Maigret nie śmiał zapalić wygasłej fajki. Wahał się długo, w końcu osłonił się marynarką kolegi i potarł energicznie zapalną. Inspektor znów poczuł ciepły zapach tytoniu.

— Niech pan patrzy.

Obaj zamilkli. Mężczyzna zerwał się ruchem tak gwałtownym, że omal nie przewrócił świecy. Cofnął się w cień, gdy drzwi się otworzyły i w kręgu światła stanęła Emma, niepewna i wyglądająca tak żałośnie, że sprawiała wrażenie winowajczyni.

Położyła na podłodze zawiniątko i butelkę, które przyniosła pod pachą. Przez rozdarty papier można było dostrzec pieczonego kurczaka.

Mówiła coś. Poruszała wargami. Wypowiedziała tylko parę słów, pokornie i smutno. Ale policjanci nie mogli dojrzeć jej rozmówcy.

Czyżby płakała? Miała na sobie czarną sukienkę kelnerki i bretoński czepek. Zdjęła tylko biały fartuszek, dzięki czemu wyglądała jeszcze bardziej niezgrabnie niż zwykle.

Tak! Na pewno płakała mówiąc... Wypowiadała urywane słowa... I rzeczywiście, nagle oparła się o futrynę, kryjąc twarz w zgięciu ramienia. Jej plecy poruszały się rytmicznie.

Mężczyzna zerwał się, zaciemnił niemal cały prostokąt okna, potem przeszedł w głąb pokoju i odsłonił widok. Jego wielka dłoń spadła na ramię dziewczyny, potrząsnęła nią tak, że ta omal nie upadła. Odwróciła się, ukazując żalną, pobladłą twarz i opuchłe od płaczu wargi.

Cała scena była tak zamazana i nieostra, jak film oglądany w sali kinowej przy zapalonych światłach. Brakowało jeszcze czegoś: odgłosów. Ciągle jak w kinie, niemym kinie bez muzyki. A

jednak mężczyzna coś mówił. Musiał mieć mocny głos. Taki niedźwiedź. Głowa wciśnięta w ramiona, tors w obcisłej koszulce, która uwydatniała szeroką pierś, włosy ostrzyżone jak u galernika. Wsparty pięściami o biodra, wykrzykiwał jakieś zarzuty, obelgi, może nawet groźby. Wydawało się, że zaraz ją uderzy. Leroy aż przysunął się do Maigreta, jakby chciał sobie dodać odwagi.

Emma ciągle płakała. Czepek jej się przekrzywił, kok ledwo się trzymał. Gdzieś zamknęło się okno, odwracając na chwilę ich uwagę. — Komisarzu... czy my...

Owiewał ich zapach tytoniu, dając złudzenie ciepła. Dlaczego Emma złożyła dłonie? Znów coś mówiła. Na jej wykrzywionej twarzy malowały się jednocześnie przestach, ból i błaganie. Inspektor usłyszał, jak Maigret odbezpiecza rewolwer.

Obie pary dzieliło jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów. Suchy wystrzał, szyba rozpryskująca się na kawałki — i olbrzym nie mógłby już nikogo skrzywdzić.

Chodził teraz tam i z powrotem. Z rękami założonymi na plecach wydawał się niższy i tęższy. Trącił nogą kurczaka, omal się nie poślizgnął, kopnął go wściekle w głąb pokoju.

Emma stała tyłem do okna.

O czym mogło rozmawiać tych dwoje? Jaki był motyw przewodni tego patetycznego dialogu?

Wydawało się bowiem, że mężczyzna powtarza ciągle te same słowa. Ale czyż nie powtarzał ich coraz łagodniej?

Emma upadła na kolana, a właściwie rzuciła się zagrządzając mu drogę i wyciągając błagalnie ręce. Udawał, że jej nie widzi, ominął ją, a ona nie klęczała już, lecz prawie leżała na podłodze.

Mężczyzna chwilami ukazywał się, chwilami nikał w mroku. Stanął obok Emmy spoglądając na nią z góry.

Znów zaczął chodzić, zbliżał się, oddalał, a ona nie miała już widać siły albo odwagi, by błagalnie wyciągać ku niemu ręce. Opadła bezwładnie na podłogę. Butelka wina leżała niecałe dwadzieścia centymetrów od jej dłoni.

Nagle nastąpiło coś nieoczekiwanego. Włóczęga pochylił się, a raczej wyciągnął swoje ciężkie łapsko, chwycił dziewczynę za sukienkę na ramieniu i jednym ruchem postawił ją na nogi. Zrobił to tak brutalnie, że aż się zachwiała, gdy ją puścił.

Czyż jednak na jej wymęczonej twarzy nie malowała się nadzieja? Włosy miała w nieładzie, biały czepek leżał na podłodze.

Mężczyzna ciągle chodził. Dwa razy ominął swoją oszołomioną partnerkę.

Za trzecim razem chwycił ją za ramiona, przycisnął gwałtownie do siebie, odchylił jej głowę. I żarłocznie przycisnął do jej warg swoje usta.

Widzieli już tylko jego nieludzkie niemal plecy i drobną kobiecą dłoń zaciśniętą na jego ramieniu.

Nie odrywając się od jej ust, gładził swoimi grubymi palcami jej rozpuszczone włosy, pieścił ją tak, jakby chciał ją zmiażdżyć, unicestwić, czy może raczej wchłonąć w siebie.

— No proszę!... — odezwał się wzruszonym głosem inspektor.

Maigret zaś był tak przejęty, że omal nie wybuchnął śmiechem.

\*

Od wejścia Emmy nie minął chyba nawet kwadrans. Mężczyzna wypuścił ją już z uścisku. Świeca prawie się wypaliła. Zapanowało niemal dostrzegalne odprężenie.

Czyż nie śmiała się? Znalazła gdzieś chyba kawałek lustra. W kręgu światła widać było, jak zwija swoje długie włosy, upina je szpilką, szuka na podłodze drugiej, która musiała jej wypaść, trzyma ją w zębach zakładając czepek.

Była niemal piękna. Była piękna! Wyglądała wzruszająco, nawet jej płaska pierś, czarna sukienka, zaczerwienione powieki.

Mężczyzna podniósł kurczaka i, nie spuszczać z niej oczu, wgrzyzał się w niego z apetytem, gruchotał kości, wrywał kawałki mięsa.

Poszukał w kieszeni noża. Nie mógł go znaleźć, więc obtłukł szyjkę butelki uderzywszy nią o obcas. Pił. Dał jej się napić, ale odmówiła ze śmiechem. Może bała się skaleczyć? Zmusił ją, by otworzyła usta, i bardzo delikatnie wlał w nie wino.

Zadławiła się, kaszlnęła. Ujął ją za ramiona i całował, ale już nie w usta. Obcałowywał radośnie jej policzki, oczy, czoło, nawet jej koronkowy czepek.

Odsunęła się od niego. Podszedł do okna, przyłożył twarz do szyby i znów jasny prostokąt niemal zniknął. Odwrócił się w końcu, by zgasić świecę.

Inspektor Leroy zaniepokoił się.

— Odejda oboje...

— Tak...

— Znikną gdzieś...

Krzak porzeczek w ogrodzie znów się poruszył. Jakaś postać, podsadzona, znalazła się na krawędzi muru. Emma stała w zaułku, czekała na kochanka.

— Pójdiesz za nimi, trzymaj się z daleka. Uważaj, żeby cię nie spostrzegli! Skontaktujesz się ze mną, kiedy będziesz mógł...

Maigret pomógł inspektorowi, jak włóczęga swojej towarzyszce, podciągnąć się po dachówkach do okienka. Potem schylił się, by obserwować zaułek, gdzie widać było tylko głowy obu postaci.

Wahali się. Szeptali. W końcu dziewczyna pociągnęła włóczęgę w kierunku szopy. Weszli do środka, bo drzwi zamknięte były tylko na klamkę.

Była to szopa handlarza sprzętu żeglarskiego. Łączyła się ze sklepem, w którym o tej porze nie było nikogo. Wystarczy wyłamać zamek i oboje znajdą się na bulwarze. Ale Leroy będzie tam przed nimi.

\*

Zszedłszy po drabinie ze strychu, Maigret zdał sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego. Z hotelu dobiegały jakieś hałasy. W zgietku głosów usłyszał dzwonek telefonu.

I głos Leroy, który rozmawiał zapewne przez telefon, bo mówił wyraźnie podniesionym tonem.

Maigret zbiegł po schodach. Na korytarzu zderzył się z jednym z dziennikarzy.

— Co się stało?

— Nowa zbrodnia... Jakiś kwadrans temu... W mieście... Rannego zabrano do apteki...

Maigret wyskoczył na bulwar, zobaczył żandarma, który biegł wymachując rewolwerem. Niebo było czarne, jak rzadko kiedy. Komisarz dopędził go.

— Co tu się dzieje?

— Dwoje ludzi wyszło właśnie ze sklepu... Patrolowałem teren tuż obok... Mężczyzna prawie wpadł mi w ręce. Nie ma już po co biec... Są chyba daleko...

— Niech pan mówi jaśniej!

— Usłyszałem hałasy w sklepie, ale w środku było ciemno. Zaczaiłem się z bronią w rękę. Drzwi się otworzyły... Wyszedł jakiś typ. Ale nie zdążyłem wziąć go na muszkę. Walnął mnie pięścią w twarz z taką siłą, że upadłem na ziemię... Wypuściłem rewolwer. Bałem się tylko, żeby go nie chwycił... Ale nie! Poszedł po kobietę, która czekała na progu. Nie mogła biec. Wziął ją na ręce. Zanim się pozbierałem... Taki cios! Niech pan spojrzy... Krew mi cieknie. Pobiegli wzdłuż

bulwaru. Pewnie obeszli już baseny... Jest tam mnóstwo małych uliczek, potem pola.

Żandarm tamował krew przykładając do nosa chusteczkę.

— Mógł mnie zabić jak nic! Ma pięści z żelaza...

Od strony hotelu ciągle dobiegały głosy rozmów, jarzyły się okna. Maigret zostawił żandarma, skręcił za róg, zobaczył aptekę. Okiennice były zamknięte, ale przez otwarte drzwi wydobywał się strumień światła.

Przed wejściem zgromadziło się kilkanaście osób. Komisarz rozsunął ludzi łokciami.

W pracowni jakiś mężczyzna leżał na gołej podłodze i pojękiwał rytmicznie, wpatrując się w sufit.

Żona aptekarza, w nocnej koszuli, robiła hałasu za dwoje.

Aptekarz, w marynarce narzuconej na piżamę, przerażony przestawiał fiolki i rozrywał paczki waty higroskopijnej.

— Kto to jest? — spytał Maigret.

Nie czekał na odpowiedź, bo poznał mundur celnika. Nogawka była poszarpana. Teraz rozpoznał też twarz.

Był to ten sam celnik, który stojąc na warcie w poprzedni piątek obserwował z daleka wypadek przed pustym domem.

Przyszedł lekarz. Spojrzał, zaaferowany, na rannego, potem na Maigreta i krzyknął:

— Cóż to znowu?

Trochę krwi wyciekło na podłogę. Aptekarz przemył nogę celnika wodą utlenioną, która zapieniła się na różowo.

Na ulicy jakiś mężczyzna opowiadał głosem ciągle pełnym emocji, choć robił to pewnie już po raz dziesiąty.

— Leżałem z żoną w łóżku, gdy usłyszałem hałas, który brzmiał jak wystrzał, potem krzyk... A potem cisza przez jakieś pięć minut... Nie śmiałem zasnąć... Żona chciała, żebym poszedł zobaczyć... Usłyszałem pojękiwania, miałem wrażenie, że dochodzą z chodnika naprzeciw naszych drzwi. Otworzyłem je... Miałem broń... Zobaczyłem jakąś ciemną postać... Poznałem mundur... Zacząłem krzyczeć, żeby pobudzić sąsiadów. Handlarz owoców, który ma samochód, pomógł mi przywieźć rannego tutaj.

— O której godzinie usłyszał pan strzał?

— Pół godziny temu...

A więc w najbardziej wzruszającym momencie sceny między Emmą i włóczęgą.

— Gdzie pan mieszka?

— Szyję żagle... Wiele razy przechodził pan koło mojego domu. Na prawo od portu, za halą rybną. Stoi na skraju bulwaru i małej uliczki... Dalej już są prawie same wille...

Czterech mężczyzn przeniosło rannego do pokoju w głębi, gdzie położono go na kanapie. Lekarz wydawał polecenia. Z ulicy dobiegł głos mera, który pytał:

— Czy jest tu komisarz?

Maigret wyszedł mu naprzeciw z rękami w kieszeniach.

— Przyzna pan, komisarzu...

Ale Maigret spojrział na niego tak chłodno, że mer z miejsca stracił pewność siebie.

— To tamten włóczęga strzelał, prawda?

— Nie.

— Skąd pan to wie?

— Wiem, bo w momencie gdy dokonano przestępstwa, miałem go przed sobą tak blisko, jak pana teraz.

— I nie aresztował go pan?

— Nie!

— Mówiono mi także o napadzie na żandarma.

— To prawda.

— Zdaje pan sobie sprawę, jakie konsekwencje mogą wynikać z tych tragedii? Odkąd pan tu jest...

Maigret podniósł słuchawkę telefonu.

— Niech mnie pani połączy z żandarmerią... Tak... Dziękuję... Halo! Żandarmeria? To pan, brygadierze? Halo! Tu komisarz Maigret... Doktor Michoux jest tam ciągle? Tak? Niech pan jednak sprawdzi... Jak to? Jest „wartownik na dziedzińcu? Doskonale... Zaczekam...

— Pan wierzy, że to doktor...?

— Ależ skąd! Ja nigdy w nic nie wierzę, panie merze... Halo!... Tak!... Nie wychodził?... Dziękuję... Mówi pan, że śpi?... Doskonale!... Halo!... Nie, nic szczególnego...

Z pokoju w głębi dobiegały pojękiwania. Ktoś zawołał stamtąd:

— Komisarzu...

Był to lekarz, który wycierał serwetką namydlone jeszcze ręce.

— Może go pan przesłuchać. Kula drasnęła tylko łydkę. Dużo strachu, mała rana... Chociaż krwotok był poważny...

Celnik miał łzy w oczach. Poczerwieniał, gdy doktor mówił dalej:

— Przeraził się, bo sądził, że mu amputują nogę. A tymczasem za tydzień nie będzie już śladu...

W drzwiach stanął mer.

— Niech mi pan powie, jak to się stało — powiedział łagodnie Maigret siadając na brzegu kanapy. — Proszę się niczego nie bać... Słyszał pan, co powiedział doktor...

— Ja nie wiem...

— Ależ...

— Skończyłem dziś służbę o dziesiątej. Mieszkam tuż obok miejsca, z którego do mnie strzelano.

— Więc nie wrócił pan od razu do domu?

— Nie. Zobaczyłem, że w kawiarni „Amiral” palą się jeszcze światła. Chciałem się dowiedzieć, jak sprawy stoją... Noga mnie pali, przysięgam panu...

— Gdzie tam! — zaprzeczył lekarz.

— Przecież panu mówię... No, ale skoro to bagatelka... Wypiłem jedno piwo. Byli tam tylko dziennikarze, nawet nie śmiałem ich wypytywać.

— Kto pana obsługiwał?

— Chyba pokojówka. Nie widziałem Emmy.

— A potem?

— Chciałem wrócić do domu. Szedłem obok odwachu, gdzie zapaliłem papierosa od fajki kolegi. Dalej wzdłuż nabrzeży... Skręciłem w prawo... Było pusto... Morze wyglądało pięknie... Nagle, gdy wyłoniłem się zza rogu, poczułem ból w nodze, jeszcze zanim usłyszałem wystrzał. Jakbym uderzył łydką o bruk... Upadłem... Chciałem wstać... Ktoś biegł... Natrafiłem dłonią na ciepłą ciecz... Nie wiem, jak to się stało, ale straciłem przytomność... Myślałem, że umieram... Gdy się ocknąłem, handlarz owocami z rogu ulicy otworzył drzwi i stał na progu bojąc się wyjść... To wszystko, co wiem...

— Nie widział pan osoby, która strzelała?

— Nic nie widziałem... To się odbywa zupełnie inaczej, niż się na ogół sądzi. Kiedy upadłem... A przede wszystkim kiedy zobaczyłem na ręku krew...

— Ma pan jakichś wrogów?

— Skądże! Mieszkam tu dopiero od dwóch lat. Pochodzę ze środkowej Francji. Na oczy nie

widziałem przemytników.

— Zawsze wraca pan do domu tą drogą?

— Nie! Ta była dłuższa. Ale nie miałem zapalek i poszedłem specjalnie na odwach zapalić papierosa. Więc zamiast przejść przez miasto, ruszyłem wzdłuż nabrzeży...

— Przez miasto jest bliżej?

— Trochę...

— Czy na tyle, by ktoś, kto widział, że wychodzi pan z kawiarni i idzie w kierunku nabrzeży, zdążył przygotować zasadzkę?

— Z pewnością... Ale po co? Nigdy nie noszę przy sobie pieniędzy. Nie usiłowano mnie okraść...

— Jest pan pewny, komisarzu, że przez cały wieczór nie stracił pan z oczu tego swojego włóczęgi?

Głos mera zabrzmiał ostro. Wszedł Leroy z kartką w rękę.

— Telegram. Przekazano go telefonicznie z poczty do hotelu. Z Paryża...

Maigret przeczytał:

„Służba Bezpieczeństwa do komisarza Maigret, Concarneau.

Jean Goyard, zwany Servières'em, którego rysopis przesłano, zatrzymany w poniedziałek wieczór godzina ósma hotel Bellevue ulica Lepie w Paryżu w chwili, gdy wprowadzał się do pokoju nr 15. Oświadczył, że przyjechał pociągiem o szóstej z Brestu. Twierdzi, że jest niewinny. Domaga się przesłuchania w obecności adwokata. Czeka na instrukcje”.

## VIII

### JESZCZE JEDEN!

— Przyzna pan chyba, komisarzu, że najwyższa pora na poważną rozmowę...

Mer wypowiedział te słowa z lodowatą uprzejmością. Inspektor Leroy nie znał jeszcze Maigreta na tyle, by odgadnąć jego uczucia ze sposobu, w jaki wydmuchiwał on dym z fajki. Z półotwartych ust komisarza wydobywała się cienka szara smużka, a jego powieki zamrugały parę razy. Potem Maigret wyjął z kieszeni notatnik i spojrzał na stojących wokół: aptekarza, doktora i gapiów.

— Jestem do pańskich usług, panie merze... No więc...

— Gdyby pan zechciał wstąpić do mnie na herbatę... — przerwał pospiesznie mer. — Mój samochód stoi przed domem. Poczekam, aż wyda pan rozkazy...

— Rozkazy?

— No jakże... morderca... Ten włóczęga... Ta dziewczyna...

— Ach, tak! No dobrze, jeżeli żandarmi nie mają nic lepszego do roboty, niech obserwują pobliskie dworce...

Powiedział to z niewinną miną.

— A pan, Leroy, niech pan zatelefonuje do Paryża, żeby nam przywieźli Goyarda, i niech pan idzie spać.

Zajął miejsce w samochodzie mera, prowadzonym przez szofera w czarnej liberii. Tuż przed Sables Blancs dostrzegł willę, która zbudowana była na gołej skale, co czyniło ją nieco podobną do feudalnego zameczku. W oknach paliło się światło.

Przez całą drogę obaj panowie nie zamienili dwóch zdań.

— Proszę tędy...

Mer pozostawił swoje futro w rękach kamerdynera.

— Pani już się położyła?

— Oczekuje pana mera w bibliotece.

Rzeczywiście ją tam zastali. Choć miała już ze czterdzieści lat, wyglądała bardzo młodo u boku swego sześćdziesięcioletniego męża. Skinęła głową komisarzowi.

— Co słyhać?

Mer, człowiek o światowych manierach, pocałował ją w rękę, którą przytrzymał chwilę mówiąc:

— Nie ma powodów do niepokoju! Celnik jest lekko ranny. I mam nadzieję, że po rozmowie, którą odbędę zaraz z komisarzem Maigret, ta koszmarna historia zakończy się ostatecznie.

Wyszła szeleszcząc jedwabną suknią. Opadła aksamitna kotara. Biblioteka była bardzo obszerna. Piękna boazeria na ścianach, wyraźnie widoczne belkowanie sufitu, jak w angielskich dworkach.

Na półkach wiele bogato oprawnych tomów, najcenniejsze spoczywały zapewne w zamkniętej biblioteczce, która zajmowała całą ścianę.

Całość prawdziwie zabytkowa, wygodna i w dobrym guście. Choć w domu było centralne ogrzewanie, na okazałym kominku płonęły wielkie polana.

Żadnego porównania z fałszywym przepychem panującym w willi doktora. Mer wybrał jedno z pudeł na cygara i wyciągnął je w stronę Maigreta.

— Dziękuję. Jeżeli pan pozwoli, zapalę fajkę.

— Proszę, niech pan usiądzie. Napije się pan whisky? Nacisnął dzwonek, zapalił cygaro. Wszedł kamerdyner, by ich obsłużyć. Maigret, być może świadomie, zachowywał się niezręcznie,

niczym ubogi mieszczanin przyjmowany w arystokratycznej rezydencji. Jego rysy stały się tępawe, spojrzenie niepewne.

Gospodarz zaczekał, aż służący wyjdzie.

— Powinien pan zrozumieć, komisarzy, że ta seria zbrodni musi się zakończyć. No więc... policzmy... jest pan tu od pięciu dni... I od pięciu dni...

Maigret wyjął z kieszeni oprawiony w czarną ceratę notes.

— Pozwoli pan?... — przerwał. — Mówi pan o serii zbrodni... Chciałbym jednak zauważyć, że wszystkie ofiary, z wyjątkiem jednej, żyją. Jedyne zabite to pan Le Pommeret. Jeśli chodzi o celnika, to przyzna pan, że gdyby ktoś naprawdę chciał go pozbawić życia, nie celowałby w nogę. Zna pan miejsce, skąd strzelano... Napastnik pozostawał niewidoczny. Nie musiał się spieszyć... Chyba że nigdy w życiu nie miał w ręku rewolweru...

Mer spojrział na niego ze zdziwieniem i powiedział podnosząc szklanekę:

— Tak więc sugeruje pan...

— Że chciano go ranić w nogę. Na razie nie ma dowodów, że było inaczej...

— Czy pana Mostaguena także chciano trafić w nogę?

W słowach mera czuć było drwinę. Jego nozdrza zadrgały. Chciał być, jako gospodarz, uprzejmy, opanowany, ale jego głos stał się nieprzyjemnie świszczący.

Maigret mówił dalej z miną przykładowego funkcjonariusza, który składa sprawozdanie swojemu przełożonemu.

— Jeśli pan pozwoli, przejrzymy po kolei notatki. Pod datą 7 listopada, piątek, czytamy: strzelano do pana Mostaguena z pustego domu, przez skrzynkę na listy. Zechce pan zauważyć, że nikt, nawet sam poszkodowany, nie mógł przewidzieć, że w danym momencie zechce się on schronić na progu, by zapalić cygaro. Gdyby wiatr był trochę słabszy, nie popełniono by zbrodni! Tymczasem człowiek z rewolwerem czaił się za drzwiami. Więc albo był to szaleniec, albo czekał na kogoś, kto miał tam przyjść. Niech pan sobie przypomni, która to była godzina. Jedenasta wieczorem! Całe miasto spało, z wyjątkiem grupki z kawiarni „Amiral”... Nie wyciągam jeszcze wniosków. Kogo możemy podejrzewać? Panowie Le Pommeret i Jean Servières, podobnie jak Emma, byli przez cały czas w kawiarni, są więc poza wszelkimi podejrzeniami. Pozostaje doktor Michoux, który wyszedł kwadrans wcześniej, i włóczęga z wielkimi stopami. Albo jakiś nie znany nam osobnik, nazwijmy go Iksem, zgoda? Nawiasem mówiąc pan Mostaguen żyje i za dwa tygodnie będzie już na nogach. Przejdźmy do kolejnej tragedii: następnego dnia, w sobotę, jestem wraz z inspektorem w kawiarni. Mieliśmy właśnie wypić aperitif w towarzystwie panów Michoux, Le Pommereta i Jeana Servières, gdy doktor zauważył coś dziwnego w szklance. Analiza wykazała, że butelka pernod została zatruta. Podejrzani: panowie Michoux, Le Pommeret, Servières oraz Emma. Jak również włóczęga, który mógł w ciągu dnia wejść niespostrzeżenie do kawiarni. I wreszcie nasz nieznajomy, którego nazwaliśmy Iksem. Przejdźmy dalej. W niedzielę rano zniknął Jean Servières. Samochód, z plamami krwi, znaleziono niedaleko jego domu. Jeszcze zanim dokonano tego odkrycia, przesłano do „Le Phare de Brest” opis wypadków zredagowany tak, by zasiać w Concarneau panikę. Jeana Servières widziano najpierw w Breście, a potem w Paryżu, gdzie prawdopodobnie chciał się ukryć i gdzie znalazł się najwyraźniej z własnej woli. Jedyne winny: Servières. Tego samego dnia pan Le Pommeret wypija aperitif z doktorem, wraca do domu, zjada kolację i umiera w wyniku otrucia strychniną. Podejrzani: doktor, Emma i nasz Iks, jeśli został otruty w kawiarni. W tym wypadku musimy wyeliminować włóczęgę, ponieważ kawiarnia ani przez chwilę nie była pusta, a truciznę wsypano do kieliszka, nie do butelki. Jeśli zbrodni dokonano w domu Le Pommereta, podejrzanymi są: właścicielka domu, włóczęga i nasz Iks. Proszę się nie niecierpliwić... Już dochodzimy do końca. Dziś wieczorem celnik został postrzelony w nogę, gdy szedł pustą ulicą. Doktor nie opuszczał więzienia, gdzie jest pod stałą

strażą. Le Pommeret nie żyje. Servières w Paryżu, w rękach Służby Bezpieczeństwa. W momencie, gdy strzelano, Emma i włóczęga na moich oczach całowali się i pochłaniali kurczaka. Jedyne podejrzany to Iks. Czyli ktoś, z kim nie zetknęliśmy się do tej pory. Osoba, która mogła popełnić wszystkie zbrodnie lub też tylko tę ostatnią. Nie znamy jej. Nie mamy jej rysopisu. Jedyne trop: zależało jej na tym, by kolejna tragedia wydarzyła się dziś w nocy, bardzo jej zależało... Bo nie był to strzał przypadkowego włóczęgi. Niech mnie pan teraz nie prosi, bym aresztował owego Iksa. Bo przyzna pan, panie merze, że może nim być każdy mieszkaniec miasta, przede wszystkim ktoś, kto dobrze zna osoby zamieszane w tę historię, ktoś ze stałych bywalców kawiarni „Amiral”... Nawet pan...

Ostatnie słowa wypowiedział niedbale, rozparty w fotelu, z nogami wyciągniętymi w stronę kominka. Mer zachnął się.

— Mam nadzieję, że to tylko mała zemsta...

Maigret wstał nagle, wytrząsnął fajkę nad kominkiem i mówił chodząc wielkimi krokami po bibliotece.

— Ależ nie! Oczekuje pan wniosków? Dobrze, oto one. Staralem się panu wykazać, że ta sprawa to nie zwykła operacja policyjna, którą kieruje się siedząc w fotelu ze słuchawką telefonu w rękę. I coś jeszcze panu powiem, panie merze, w niczym panu nie uchybiając: skoro biorę na siebie odpowiedzialność za to śledztwo, zależy mi przede wszystkim na tym, by się ode mnie odchrzaniono!

Stało się to zupełnie niespodziewanie... Dojrzało w nim od kilku dni. Maigret wypił łyk whisky, by się uspokoić, i spojrzął na drzwi jak ktoś, kto powiedział swoje i tylko czeka, by pozwolono mu odejść.

Jego rozmówca milczał przez dłuższą chwilę, kontemplując biały popiół na koniuszku cygara. W końcu strząsnął go do błękitnej porcelanowej czarki, po czym podniósł się z wolna i poszukał wzrokiem spojrzenia Maigreta.

— Niech pan posłucha, komisarzu...

Mówił powoli, ważył każde słowo.

— Być może nie miałem racji, okazując niecierpliwość w czasie naszych krótkich rozmów...

Było to dość nieoczekiwane. Szczególnie w tym otoczeniu, gdzie starszy pan wyglądał jeszcze bardziej rasowo niż zwykle, siwowłosy, ubrany w obszytą jedwabiem marynarkę i szare, sztywno zaprasowane spodnie.

— Zaczynam pana doceniać... W ciągu kilku minut, za pomocą prostego podsumowania faktów, uświadomił mi pan istnienie niepokojącej zagadki, która leży u podstaw tej serii wydarzeń, a z której złożoności nie zdawałem sobie sprawy. Przyznaję, że bierność, jaką pan wykazał w sprawie tego włóczęgi, nastroiła mnie w stosunku do pana niezbyt przychylnie... Podeszedł do komisarza i dotknął dłonią jego ramienia.

— Bardzo proszę, by nie żywił pan do mnie urazy... Na mnie także ciąży wielka odpowiedzialność...

Nie sposób było przejrzeć uczuć Maigreta, który zajęty był właśnie nabijaniem fajki. Miał bardzo zniszczony woreczek na tytoń. Jego spojrzenie omiatało widoczny za oknami rozległy morski horyzont.

— Co to za światło? — spytał nagle.

— Latarnia morska...

— Nie! Mówię o tym światełku na prawo...

— Dom doktora Michoux...

— Służąca wróciła?

— Nie! To pani Michoux, matka doktora. Wróciła dziś po południu.

— Widział ją pan?

Maigret wyczuł zażenowanie w głosie gospodarza.

— Zdziwiła się, że syna nie ma w domu... Przyszła do nas dowiedzieć się... Powiedziałem jej o aresztowaniu, tłumacząc, że była to raczej forma opieki... Bo tak przecież było, prawda? Prosiła mnie o zezwolenie na odwiedzenie go w więzieniu. W hotelu nikt nie wiedział, co się z panem dzieje... Wziąłem to na siebie... Pani Michoux wróciła do nas tuż przed kolacją, żeby wysłuchać najświeższych wiadomości... Żona zaprosiła ją na kolację...

— Są przyjaciółkami?

— Można to tak nazwać. Raczej dobrymi sąsiadkami. Zimą życie towarzyskie w Concarneau prawie zamiera...

Maigret zaczął przechadzać się po bibliotece.

— A więc jedliście państwo kolację we trójkę?

— Tak... To się dość często zdarza. Staralem się w miarę możliwości uspokoić panią Michoux, wizyta na posterunku żandarmerii zrobiła na niej wstrząsające wrażenie. Wychowanie syna kosztowało ją wiele trudu, nie cieszył się nigdy dobrym zdrowiem.

— Nie było mowy o Le Pommerecie i Jeanie Servières?

— Nigdy nie lubiła Le Pommereta... Zarzucała mu, że skłania syna do pijaństwa. I rzeczywiście...

— A Servières?

— Słabiej go zna. Nie należy do tej sfery. Drugorzędny dziennikarzyna, znajomy z kawiarni, owszem, sympatyczny człowiek. Ale na przykład jego żony, której przeszłość nie jest bez zarzutu, nie przyjmuje się w towarzystwie. To małe miasteczko, komisarzu! Trzeba się pogodzić z tymi podziałami. Tłumaczy to częściowo moje przyływy złego humoru. Nie zdaje pan sobie sprawy, co to znaczy zarządzać społecznością rybaków, licząc się jednocześnie z drażliwością pracodawców i wreszcie z pewnymi kręgami mieszczaństwa...

— O której godzinie pani Michoux stąd wyszła?

— Około dziesiątej... Żona odwiozła ją samochodem.

— To światło chyba świadczy o tym, że pani Michoux nie poszła jeszcze spać?

— To u niej normalne... U mnie też! W pewnym wieku nie potrzebuje się już wiele snu... Zwykle czytam albo przeglądam akta do późna w nocy.

— Interesy państwa Michoux idą dobrze? Znowu zażenowanie, ledwo wyczuwalne.

— Jeszcze nie! Trzeba poczekać, aż Sables Blancs zyskają większą sławę. Biorąc pod uwagę paryskie znajomości pani Michoux, nie powinno to zabrać dużo czasu. Wiele parceli już sprzedano. Na wiosnę zaczną się budowy... W czasie ostatniej podróży prawie przekonała pewnego bankiera, którego nazwiska nie mogę panu zdradzić, by zbudował wspaniałą willę na skale po drugiej stronie plaży...

— Jeszcze jedno pytanie, panie merze... Do kogo należał poprzednio teren, na którym znajdują się parcele?

Mer odpowiedział bez wahania.

— Do mnie! To dobra rodzinne, podobnie jak willa. Rosły tam tylko wrzosi i jałowce, gdy Michoux wpadli na pomysł, żeby...

W tym momencie światło w oddali zgasło.

— Jeszcze szklaneczkę whisky, komisarzu? Oczywiście każę kierowcy odwieźć pana...

— To miło z pana strony. Ale lubię się przejść, szczególnie gdy mam coś do przemyślenia...

— A co pan sądzi o sprawie żółtego psa? Przyznam, że chyba to właśnie najbardziej mnie intryguje. To i zatruty pernod. Bo w końcu...

Maigret rozglądał się już wokół siebie szukając płaszcza i kapelusza, mer musiał więc

zadzwoić na służbę.

— Ubranie pana komisarza, Delfinie!

Zapadła cisza jak makiem zasiał i słycać było głuchy, rytmiczny łoskot przyboju o skały.

— Naprawdę nie chce pan, by pana odwiedzić?

— Naprawdę.

W powietrzu wisiały jeszcze jakby resztki wcześniejszego zażenowania, niczym resztki dymu tytoniowego rozsnute wokół lampy.

— Zastanawiam się, jakie będą jutro nastroje wśród mieszkańców. Jeśli morze będzie spokojne, na ulicach nie pojawią się przynajmniej rybacy, bo skorzystają z pogody, by zastawić pułapki na homary.

Maigret wziął płaszcz z rąk kamerdynera i wyciągnął do mera swą wielką dłoń. Ten wyraźnie chciał jeszcze zadać parę pytań, ale wahał się ze względu na obecność służącego.

— Ile czasu potrzeba, według pana, by... Zegar wskazywał pierwszą w nocy.

— Dziś wieczorem, mam nadzieję, zakończę sprawę.

— Tak szybko? Mimo tego, co mi pan przed chwilą powiedział? Liczy pan w takim razie na Goyarda? O ile nie...

Było już bardzo późno. Maigret zaczął schodzić na dół.

Mer chciał coś dodać, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

— Nie wiem, czy powinienem pozwolić panu wracać piechotą... Taki kawał drogi...

Drzwi się zamknęły. Maigret szedł przed siebie, mając ponad głowę niebo, na którym ciężkie chmury współzawodniczyły ze sobą w pędzie, by przesłonić na chwilę księżyc.

Powietrze było rześkie. Wiatr dął od morza, niosąc zapach trawy morskiej, której czarne sterty rysowały się na piasku.

Komisarz szedł powoli z rękami w kieszeniach i fajką w ustach. Obejrząwszy się za siebie, dostrzegł w oddali, jak światła zgasty w oknach biblioteki, a w chwilę potem zapaliły się, przyćmione zasłonami, na drugim piętrze.

Nie wracał przez miasto, lecz drogą wzdłuż wybrzeża, tą samą, którą szedł celnik. Przystanął na rogu, gdzie oddano strzał. Wszędzie panował spokój. Gdzieniedzie paliły się latarnie uliczne. Concarneau spało.

Kiedy dotarł na rynek, zobaczył oświetlone jeszcze okna kawiarni, które zakłócały spokój nocy swoim jadowitym blaskiem.

Pchnął drzwi. Jeden z dziennikarzy dyktował przez telefon:

— ...Nie wiadomo, kogo podejrzewać. Ludzie z ulicy spoglądają na siebie z lękiem. Może to ten jest mordercą? A może tamten? Nigdy dotąd atmosfera strachu i tajemniczości nie dała się wyczuć tak wyraźnie...

Właściciel, w pogrzebowym nastroju, sam siedział przy kasie. Dostrzegłszy komisarza chciał coś powiedzieć. Można było z góry przewidzieć, że zacznie swoje narzekania.

W kawiarni panował nieporządek. Na wszystkich stolikach poniewierały się gazety, puste kieliszki, a fotograf suszył na grzejniku odbitki.

Inspektor Leroy podszedł do swego szefa.

— To pani Goyard... — powiedział półgłosem wskazując siedzącą na ławeczce pulchną kobietę.

Wstała. Otarła oczy.

— Niech mi pan powie, komisarzu, czy to prawda? Już sama nie wiem, komu wierzyć. Podobno Jean żyje? Ależ to niemożliwe, prawda... że zagrał komedię? Nie zrobiliby mi tego! Nie zostawiłby mnie w takiej niepewności. Ja chyba oszaleję. Co on zamierzał zrobić w Paryżu? Niech pan powie! I to beze mnie!

Płakała. Płakała tak, jak potrafią to robić niektóre kobiety: przyciskała rękę do pełnej piersi i lała łzy, które spływały jej po policzkach aż na brodę.

Westchnęła. Poszukała chusteczki. Rozpierała ją chęć mówienia.

— Daję słowo, to niemożliwe! Wiem, że lubił się czasem zabawić... Ale tego by nie zrobił! Zawsze kiedy wracał, prosił o przebaczenie. Rozumie pan? Oni mówią...

Wskazała na dziennikarzy.

— Oni mówią, że to on sam spreparował plamy krwi w samochodzie, aby upozorować morderstwo. Ależ to by znaczyło, że nie miał zamiaru wracać! A ja wiem, rozumie pan, jestem pewna, że wróciłby! Nie hulałby tak, gdyby go inni w to nie wciągnęli... Le Pommeret... Doktor... Nawet mer! I wszyscy ci, którzy nie raczyli mi się kłaniać na ulicy, bo jestem kimś niegodnym ich uwagi... Powiedziano mi, że został aresztowany... Nie mogę w to uwierzyć... Co on mógł zrobić złego? Zarabiał dosyć na życie, jakie prowadzimy... Był ze mną szczęśliwy, mimo orgietek, których nie odmawiał sobie od czasu do czasu.

Maigret spojrział na nią, westchnął, wziął ze stołu kieliszek, wypił jednym haustem jego zawartość i bąknął:

— Pani wybaczy... Muszę się położyć...

— Czy pan także wierzy, że on zrobił coś złego?

— Ja nigdy w nic nie wierzę... Niech pani bierze : mnie przykład... Jutro też jest dzień...

Wchodził na górę ciężkim krokiem, a dziennikarz, który nie odszedł jeszcze od telefonu, wykorzystał jego ostatnie zdanie.

— ...Wedle ostatnich doniesień, komisarz Maigret liczy na to, że już jutro wyjaśni ostatecznie tę zagadkę.

I dodał innym głosem:

— To tyle, proszę pani. Przede wszystkim proszę powiedzieć szefowi, żeby nie zmieniał ani linijki z mojego tekstu... On tego nie zrozumie... Trzeba być tu, na miejscu...

Odłożywszy słuchawkę wepchnął notatnik do kieszeni i powiedział:

— Jeden grog, szefie! Dużo rumu i odrobinę gorącej wody.

Pani Goyard przystała na propozycję reportera, który chciał odprowadzić ją do domu. Drogę zaczęła od zwierzeń.

— Był z niego wprawdzie trochę hulaka, ale... Przecież pan rozumie! Wszyscy mężczyźni są tacy!

## IX KASSETKA

Następnego ranka Maigret był w tak dobrym humorze, że inspektor Leroy, ośmielony, dotrzymywał mu towarzystwa, gawędząc, a nawet wypytując.

Zresztą, nie wiadomo dlaczego, zapanowało ogólne odprężenie. Przyczyną tego stanu rzeczy była zapewne nagle poprawa pogody. Niebo wyglądało, jakby je wymyto do czysta. Było błękitne, błękitem nieco przyblakłym, ale rozedrganym i skrzącym się całą gamą subtelnych Odcieni. Horyzont poszerzył się, jakby kopułę nieba wydrążono od środka. Powierzchnia morza, płaska i rozmigotana, usiana była małymi żagielkami, które wyglądały jak chorągiewki przyszpilone na mapie sztabowej.

Wystarczyło trochę słońca, by Concarneau zupełnie się odmieniło. Mury starego miasta, posępne w deszczu, stały się teraz lśniąco białe i wesołe.

Dziennikarze, zmęczeni bieganiną ostatnich trzech dni, siedzieli na dole gawędząc i popijając kawę. Jeden z nich zszedł nawet w szlafroku i kapciach założonych na bose nogi.

Maigret dostał się do położonego na poddaszu pokoiku Emmy, którego okienko wychodziło na zaułek, a pochyły sufit pozwalał na zachowanie pozycji wyprostowanej tylko w połowie pomieszczenia.

Okno zostawiono otwarte. Powietrze było chłodne, ale słońce zaczynało już lekko przygrzewać. Jakaś gospodyni, korzystając z pogody, wywiesiła mokrą bieliznę w oknie naprzeciw. Ze szkolnego dziedzińca dobiegał rozedrgany zgiełk przerwy lekcyjnej. Siedzący na brzegu żelaznego łóżka Leroy zauważył:

— Nie rozumiem jeszcze do końca pana metody, panie komisarzu, ale wydaje mi się, że zaczynam się domyślać.

Maigret spojrział na niego śmiejącymi się oczyma i wypuścił ku słońcu kłęb dymu.

— Doskonale, Leroy! Zwłaszcza że w tej sprawie moja metoda polegała właśnie na tym, by nie mieć żadnej... Dam panu dobrą radę: jeśli zależy panu na awansie, to niech pan broń Boże nie wzoruje się na mnie ani nie usiłuje tworzyć teorii na temat tego, jak postępuję.

— A jednak... Widzę, że chce się pan teraz zająć poszlakami materialnymi, po tym jak...

— Właśnie, po tym! Po wszystkim! Słowem, postawiłem śledztwo na głowie, co mi bynajmniej nie przeszkodzi odwrócić je na nogi przy najbliższej okazji... To kwestia atmosfery... Kwestia twarzy... Gdy tu przyjechałem, napotkałem twarz, która mnie zauroczyła. I nadal jestem pod jej wrażeniem...

Nie powiedział, czyja to twarz. Uniósł stare prześcieradło, zasłaniające schowek na ubrania. Wisiał tam strój bretoński z czarnego jedwabiu, który Emma trzymała zapewne na świąteczne okazje.

Na toalecie leżał grzebień z połamanymi zębami, szpilki do włosów i pudełeczko ze zbyt jaskrawym ryżowym pudrem. Dopiero w szufladzie znalazł to, czego zdawał się szukać: ozdobioną lśniącymi muszelkami kasetkę, jedną z tych, jakie sprzedaje się na wszystkich bazarach wybrzeża. Liczyła sobie przynajmniej dziesięć lat i Bóg wie jakimi drogami trafiła do tego pokoju. Widniały na niej słowa: „Pamiętka z Ostendy”.

Pachniała starą tekturą, kurzem, perfumami i pożółkłym papierem. Maigret siadł obok kolegi na brzegu łóżka i zaczął przesuwając grubymi palcami leżące w kasetce drobiazgi.

Był tam różaniec ze rżniętych w kanty błękitnych szklanych paciorków na delikatnym srebrnym łańcuszku, medalik od pierwszej komunii, pusty flakonik po perfumach, który Emma znalazła

zapewne w pokoju hotelowym i zatrzymała ze względu na piękny kształt.

Weselszy akcent stanowił jaskrawoczerwony papierowy kwiat, pamiątka po jakimś balu czy festynie.

Obok złoty krzyżyk, jedyny przedmiot mający wartość.

Cała sterta pocztówek. Jedna z nich przedstawiała wielki hotel w Cannes. Na odwrocie napisano kobiecym charakterem pisma:

„Lepiej zrobisz pszyjerdzając tutaj niż siedząc w tfojej bródnej dziuże gdzie ciongle leje. Dobrze się tu zarabia. I je się ile chce. Całóje Luiza”.

Maigret podał kartkę inspektorowi i spojrział uważnie na jarmarczną fotografię, jedną z tych, jakie otrzymuje się po trafieniu w środek tarczy.

Twarzy mężczyzny, który składał się do strzału, przymknąwszy jedno oko, nie było prawie widać. Miał potężne bary i czapkę marynarską na głowie. Emma trzymała się ostentacyjnie jego ramienia, śmiejąc się do obiektywu. Poniżej dopisek: „Quimper”.

List odczytywano zapewne wiele razy, tak bardzo wymięty był papier.

„Kochana!

Załatwione, podpisane. Mam swój statek. Będzie się nazywać «Piękna Emma». Proboszcz z Quimper obiecał poświęcić go w przyszłym tygodniu. Będzie woda święcona, ziarno, sól i wszystko, co potrzeba. Nawet prawdziwy szampan, bo chcę, żeby to była uroczystość, którą długo się będzie wspominać w okolicy.

Na początku będzie trochę ciężko, muszę wpłacać do banku dziesięć tysięcy franków rocznie. Ale pomyśl tylko, ma sto sążni kwadratowych żagla i robi dziesięć węzłów. Można wiele zarobić wożąc cebulę do Anglii. A więc niebawem będziemy mogli wziąć ślub. Znalazłem już ładunek na pierwszą podróż, ale chcą mnie okpić, bo jestem nowy.

Niech twoja szefowa da Ci dwa dni urlopu na chrzest, bo wszyscy będą pijani i nie będziesz mogła wrócić do Concarneau. Już musiałem stawiać kolejki w kafejkach z powodu statku, który stoi w porcie i ma całkiem nową banderę.

Każę się sfotografować na pokładzie i wyślę Ci zdjęcie.

Przesyłam pocałunki czekając, aż zostaniesz moją ukochaną żoną. Twój Leon”.

\*

Maigret wsunął list do kieszeni, spoglądając w zamyśleniu na bieliznę, która suszyła się po przeciwnej stronie zaułka. W kasetce była jeszcze tylko kościana obsadka ze zdjęciem katedry Notre-Dame w Lourdes pod szklaną soczewką.

— Czy ktoś teraz mieszka w pokoju, który zajmował zwykle doktor? — spytał Maigret.

— Nie sądzę. Dziennikarze mieszkają na drugim piętrze...

Dla spokoju sumienia komisarz przeszukał jeszcze resztę pokoju, ale nie znalazł nic ciekawego. Chwilę potem był na pierwszym piętrze. Pchnął drzwi pokoju nr 3. Z balkonu widać było port i redę.

Łóżko posłane, podłoga zapastowana. Na dzbanku czyste ręczniki.

Inspektor obserwował swego szefa z ciekawością nie pozbawioną sceptycyzmu. Maigret, który rozglądał się wokół pogwizdując, spostrzegł przy oknie mały dębowy stoliczek, a na nim popielniczkę i reklamową podkładkę do pisania.

Na podkładce leżał biały papier i niebieska koperta z nagłówkiem hotelowym. Były tam też dwa arkusze bibuły: jeden prawie czarny od atramentu, drugi ledwo poznaczony odbitymi częściowo literami.

— Niech pan przyniesie jakieś lustro!

— Duże?

— Nieważne! Takie, które mógłbym postawić na stole.

Gdy inspektor wrócił, Maigret stał na balkonie, wsunawszy palce za wycięcia kamizelki, i palił z widocznym zadowoleniem fajkę.

— Może być takie?

Maigret wrócił do pokoju, zamknął okno i ustawił lusterko na stoliku. Naprzeciw umieścił arkusz bibuły, podparłszy go dwoma świecznikami, które wzięł z kominka.

Odcyfrowanie odbitego w lustrze tekstu nie było zadaniem łatwym. Brakowało niektórych liter, nawet całych słów. Innych, zbyt zniekształconych, trzeba się było domyślać.

— Już rozumiem! — rzucił rezolutnie Leroy.

— Dobrze! Niech więc pan poprosi właściciela o bloczek rachunkowy Emmy... albo inną próbkę jej pisma.

Wziął ołówek i przepisał tekst na kartkę papieru. „Tobą zobaczyć... nastej... pustego... Liczę.....Otworzę...”

Gdy wrócił inspektor, komisarz zdążył już odtworzyć w przybliżeniu, odgadnąwszy brakujące wyrazy, bilecik następującej treści:

„Muszę się z Tobą zobaczyć. Przyjdź jutro o jedenastej do pustego domu przy rynku, tuż za hotelem. Liczę na Ciebie. Otworzę Ci, gdy zapukasz”.

— Oto notes Emmy, w którym prowadziła rachunki! — oznajmił Leroy.

— Już go nie potrzebuję... List jest podpisany... Niech pan spojrzy tutaj: „...mma”. Czyli Emma. A list napisano w tym pokoju!

— Więc ta dziewczyna spotykała się z doktorem? — przestraszył się inspektor.

Maigret rozumiał jego opór przed uznaniem tej hipotezy. Szczególnie po scenie, którą oglądali dzień wcześniej stojąc na gzymsie domu.

— W takim razie to ona?...

— Powoli! Powoli, chłopcze! Żadnych pochopnych wniosków. A przede wszystkim żadnych dedukcji! O której przyjeżdża pociąg, którym przywiozą nam Jeana Goyard?

— Jedenasta trzydzieści dwie.

— A więc robi pan tak: najpierw powie pan dwu naszym kolegom, którzy przywiozą naszego ptaszka, żeby odprowadzili go na posterunek żandarmerii... Dotrze tam koło południa... Zatelefonuje pan do mera i powie mu, że będę mu wdzięczny, jeśli zjawi się tam o tej samej porze... Niech pan czeka! To samo przekaze pan telefonicznie pani Michoux... Bardzo możliwe, że łąda chwila policja albo żandarmeria sprowadzi tu Emmę i jej kochanka... To samo miejsce, ta sama godzina... Czy o nikim nie zapomniałem?... Dobra, jeszcze jedno!... Niech nikt nie przesłuchuje Emmy pod moją nieobecność. Niech pan nie pozwoli jej się odzywać...

— Celnik?

— Nie będzie potrzebny.

— Pan Mostaguen?

— Hm... Nie! To wszystko!

W kawiarni Maigret zamówił miejscową wódkę z winogron, skosztował z widoczną przyjemnością i rzucił dziennikarzom:

— Nie jest źle, panowie! Dziś wieczorem będziecie mogli wrócić do Paryża.

\*

Spacer krętymi uliczkami starego miasta poprawił mu jeszcze humor. Gdy dotarł przed bramę posterunku żandarmerii, nad którą powiewała francuska flaga, uświadomił sobie, że słońce, barwy

narodowe i skąpany w świetle mur nadają temu miejscu znamiona radości typowe dla święta narodowego.

Siedzący po drugiej stronie furty stary żandarm czytał jakieś czasopismo rozrywkowe. Na dziedzińcu, brukowanym niewielkimi płytami przedzielonymi zielonymi liniami mchu, panował klasztorny spokój.

— Jest brygadier?

— Wszyscy wyszli. Porucznik, brygadier i większość ludzi szukają tego włóczęgi, no wie pan...

— Doktor nie wychodził?

Żandarm uśmiechnął się, spoglądając w prawo, na zakratowane okienko aresztu.

— Nie ma obawy!

— Proszę mi otworzyć.

Gdy odryglowano drzwi, Maigret rzucił serdecznym wesołym głosem:

— Dzień dobry, doktorze! Czy przynajmniej wyspał się pan?

Zobaczył tylko bladą pociągłą twarz wyglądającą spod szarego koca na pryczy. Głęboko zapadnięte oczy błyszczały gorączką.

— Cóż to? Żle się pan czuje?

— Bardzo źle — westchnął Michoux unosząc się na łokciu. — Moja nerka...

— Mam nadzieję, że niczego panu nie brakuje?

— Nie... To miło z pana strony...

Leżał w ubraniu. Wysunął nogi spod koca, usiadł i przeciągnął dłonią po czole. W tym samym momencie Maigret siadł okrakiem na krześle, z łokciami na oparciu. Biły od niego zdrowie i siła.

— No proszę! Widzę, że pan zamówił burgunda...

— Przyniosła go wczoraj moja matka... Jakże chciałem uniknąć tej wizyty! Dowiedziała się czegoś w Paryżu... I wróciła...

Sine obwódki pod oczami sięgały aż do połowy nie ogolonych policzków, które wydawały się przez to jeszcze bardziej zapadnięte. A brak krawata i wymięty garnitur pogłębiały żalosne wrażenie, jakie czyniła jego postać.

Zamilkł na chwilę, by odkaszlnąć, splunął ostentacyjnie w chusteczkę i przyjrzał jej się z miną człowieka, który obawia się gruźlicy.

— Co nowego? — spytał zmęczonym głosem.

— Żandarmi na pewno panu mówili o tragedii, jaka wydarzyła się w nocy?

— Nie... Co takiego? Kogo tym razem...?

Oparł się plecami o ścianę, jakby obawiał się napaści.

— Ha! Jakiś przechodzień został postrzelony w nogę.

— A schwytano... mordercę? Już nie mogę, komisarzu!... Przyzna pan, że są powody, by oszaleć... Znów jakiś bywalec kawiarni „Amiral”, prawda? To na nas się poluje. A ja na próżno łamię sobie głowę, by dojść, dlaczego. Tak, dlaczego? Mostaguen!... Le Pommeret!... Goyard!... I ta trucizna przeznaczona dla nas wszystkich. Zobacz pan, że w końcu osiągną mnie mimo wszystko, nawet tutaj! Ale niech pan powie, dlaczego?

Nie był już blady. Był siny. Przykro było na niego patrzeć, wyglądał jak ucieleśnienie paniki, ze wszystkim, co w niej najbardziej ohydne i żalosne.

— Nie mam odwagi zasnąć. To okno, niech pan spojrzy! Są pręty... Ale można przez nie strzelić... w nocy! Żandarm może usnąć albo zamyślić się... Ja się nie nadaj do takiego życia. Wczoraj wypilem całą butelkę, miałem nadzieję, że zasnę. Nawet nie zmrużyłem oka! Byłem chory! Gdyby tylko udało się zastrzelić tego włóczęgę. I jego złotego psa. Czy widziano go znowu? Ciągłe szwenda się koło kawiarni? Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie poślano mu kuli.

Jemu i jego panu.

— Jego pan wyjechał tej nocy z Concarneau...

— Ach!

Doktor wyglądał, jakby nie mógł w to uwierzyć.

— Tuż po... po tej nowej zbrodni?

— Przed!

— Jak to? To niemożliwe! W takim razie...

— Właśnie! Powiedziałem to w nocy merowi. A tak między nami, dziwny człowiek z tego mera. Co pan o nim sądzi?

— Ja? Sam nie wiem. Ja...

— W końcu sprzedał panu teren na parcele. Utrzymuje pan z nim stosunki. Mówi się, że jesteście przyjaciółmi.

— Mamy przede wszystkim wspólne interesy. Jesteś my dobrymi sąsiadami... Na wsi...

Maigret zauważył, że mówił teraz mocniejszym głosem, a jego spojrzenie nie było już tak niepewne.

— Co pan mu powiedział?

Maigret wyjął z kieszeni notes.

— Powiedziałem mu, że seria zabójstw, albo raczej usiłowań zabójstwa, nie mogła być dziełem żadnej znanej nam osoby... Nie chciałbym powtarzać tu wszystkiego po kolei... Streszczam tylko... Staram się mówić obiektywnie, rzeczowo... To jasne, że fizycznie nie był pan w stanie strzelić ostatniej nocy do celnika, co pozwala wyeliminować pana osobę. Le Pommeret również nie mógł tego zrobić, ponieważ jutro rano zostanie pochowany. Ani Goyard, którego odnaleziono właśnie w Paryżu! I żaden z nich nie mógł stać w piątek wieczór za skrzynką na listy w pustym domu. Emma też nie...

— No a włóczęga z żółtym psem?

— Myślałem o tym! Ale on nie mógł otruć Le Pommereta, a ostatniej nocy był daleko od miejsca tragedii. Dlatego mówiłem merowi o nieznanym osobie, o jakimś tajemniczym Iksie, który mógł popełnić wszystkie te przestępstwa. Chyba że...

— Chyba że...?

— Chyba że to wcale nie jest seria! Niech pan spróbuje sobie wyobrazić, że nie jest to jednostronna ofensywa, ale walka między dwiema grupami lub osobami.

— Ale co w takim razie stanie się ze mną? Jeżeli krążą tu jacyś nikomu nie znani przeciwnicy... Ja...

Jego twarz znowu pobladła. Chwycił głowę w dłoń.

— Kiedy pomyślę, że jestem chory, że lekarze zalecają mi całkowity spokój! Och! Nie będzie już potrzebna ani kula, ani trucizny, by mnie... Zobacz pan, moja nerka sama to załatwi...

— Co pan sądzi o merze?

— Nie wiem! Nic nie wiem! Pochodzi z bardzo bogatej rodziny. W młodości prowadził światowe życie w Paryżu. Miał stajnię wyścigową... Potem się ustatkował... Ocalił część majątku i osiadł tutaj, w domu swojego dziadka, który także był merem Concarneau... Sprzedał mi ziemię, która nie przynosiła mu zysku. Myślę, że chciałby zostać radcą generalnym, by zasiadać w końcu w senacie.

Doktor wstał. Można by przysiąc, że w ciągu kilku dni schudł o dziesięć kilo. Rozplakał się ze zdenerwowania, co nie dziwiło w jego sytuacji.

— I pan chce coś z tego zrozumieć? I ten Goyard, który jest w Paryżu, gdy wszyscy sądzą... Co on może tam robić? I dlaczego?

— Dowiemy się tego niebawem, gdy przybędzie do Concarneau. Może nawet już tu jest...

- Aresztowano go?
- Poproszono go o przybycie w towarzystwie dwóch panów. A to nie to samo...
- Co powiedział?
- Nic. Prawdę mówiąc, o nic go nie pytano.

Nagle doktor spojrział komisarzowi prosto w oczy. Na policzkach wystąpiły mu rumieńce.

— Cóż to właściwie znaczy? Mam wrażenie, że ktoś tu zwariował! Opowiada mi pan o merze, o Goyardzie... A ja czuję, rozumie pan, czuję, że lada chwila ja sam zostanę zabity... Mimo że w oknie są pręty... one mnie nie chronią! Mimo tego grubego idioty, który trzyma wartę na dziedzińcu! A ja nie chcę umrzeć! Nie chcę! Niech mi tylko dadzą rewolwer, bym mógł się bronić! Albo niech zamkną tamtych, którzy czyhają na moje życie. Tych, którzy zabili Pommereta i wysypali truciznę do butelki...

Całym jego ciałem wstrząsnęły dreszcze.

— Nie jestem bohaterem! Rzucanie wyzwania śmierci to zajęcie nie dla mnie! Jestem tylko człowiekiem! Jestem chory! Wystarczy mi, że muszę się zmagać z chorobą. Pan tylko mówi i mówi! Ale co pan robi?

Rozwścieczony uderzył czołem o ścianę.

— To wszystko wygląda na spisek! Chyba że ktoś chce, bym oszalał? Tak! Chcą mnie zamknąć w zakładzie dla obłąkanych. Kto wie? Może matka ma już dość? Bo zawsze zazdrośnie strzegłem swojej części spadku po ojcu! Ale nie pozwolę się...

Maigret nie ruszał się. Trwał ciągle w tym samym miejscu, pośrodku białej celi, której ściany skąpane były w słońcu, z łokciami na oparciu krzesła i fajką w ustach.

Doktor chodził tam i z powrotem ogarnięty podnieceniem, graniczącym z delirium.

Nagle w celi rozległ się wesoły, trochę drwiący i niby dziecinny głos:

— A kuku!

Ernest Michoux drgnął, potoczył wzrokiem wokoło i dopiero wtedy spojrział na komisarza. Dostrzegł teraz wyraz jego twarzy. Maigret wyjął fajkę z ust i uśmiechał się kpiarsko, puszczając do niego oko.

Jak za naciśnięciem guzika doktor znieruchomiał, zmiękł i zwiotczał, stopniał prawie, stał się postacią niemal nierzeczywiście ulotną.

— To pan...?

Można było odnieść wrażenie, że głos wydobywa się skądś poza nim, jak głos brzuchomówcy, którego słowa rozlegają się z sufitu lub porcelanowej wazy.

Oczy Maigreta ciągle się śmiały, gdy wstał i powiedział poważnym i pokrzepiającym tonem, kontrastującym z jego wyrazem twarzy:

— Niech pan się pozbiera, doktorze. Słyszę kroki na dziedzińcu... Już wkrótce morderca znajdzie się w tej celi.

Pierwszą osobą wprowadzoną przez żandarma był mer. Ale na dziedzińcu rozbrzmiewały jeszcze jakieś kroki.

## X

### „PIĘKNA EMMA”

— Prosił pan, żebym przyszedł, komisarzu?

Nim Maigret zdążył odpowiedzieć, na dziedzińcu pojawiło się dwóch inspektorów prowadzących Jeana Goyard. Na ulicy, po obu stronach furty, można było dostrzec wzburzony tłum.

Dziennikarz, idąc między swoimi strażnikami, wydawał się jeszcze niższy i grubszy. Wcisnął na oczy miękki kapelusz, a dolną część twarzy zasłaniał trzymaną w rękę chusteczką, zapewne obawiając się, że zostanie sfotografowany.

— Tędy! — rzucił inspektorom Maigret. — Słyszę kobiecy głos, może panowie przyniosą parę krzeseł... Jakiś głos mówił:

— Gdzie on jest? Chcę go natychmiast zobaczyć. A pana, „inspektorze, każę zwolnić... Słyszysz pan? Każę pana zwolnić...

Była to pani Michoux, ubrana w sukienkę koloru malwy, upudrowana, uszminekowana i przystrojona całą swoją biżuterią. Sapała z oburzenia.

— Ach! Pan tutaj, drogi przyjacielu! — mizdrzyła się do mera. — Czy można sobie wyobrazić coś podobnego? Ten oto osobnik przychodzi do mnie w porze, gdy nie jestem nawet ubrana... Służąca wzięła urlop... Mówię mu przez drzwi, że nie mogę go przyjąć, a on upiera się, nalega, czeka, aż się ubiorę, twierdząc, że ma rozkaz sprowadzić mnie tutaj. To zupełnie niesłychane! Kiedy pomyślę, że mój mąż był deputowanym, mógł nawet zostać premierem... A ten... ten nicpoń... Tak, nicpoń!

Była zbyt wzburzona, by zdawać sobie sprawę z sytuacji. Nagle spostrzegła Goyarda, który odwracał twarz, i swojego syna siedzącego na brzegu pryczy z głową w dłoniach. Na pełen słońca dziedzińiec wjechał samochód. Połyskiwały mundury żandarmów. W tłumie rozległy się teraz okrzyki.

Trzeba było zamknąć bramę wjazdową, by uniemożliwić ludziom wtargnięcie siłą do środka. Bo pierwszą osobą, którą dosłownie wyciągnięto z samochodu, był ni mniej, ni więcej tylko poszukiwany włóczęga. Miał nie tylko kajdanki na rękach, ale i nogi skrupowane w kostkach mocną linką, tak że można go było przenosić jak pakunek.

Po nim wysiadła Emma, nie związana, lecz tak osłupiała, że poruszała się niczym we śnie.

— Rozwiążcie mu nogi!

Żandarmi byli dumni ze swej zdobyczy i wciąż podnieceni. Musieli mieć niełatwe zadanie, sądząc po rozchełstanych mundurach, a zwłaszcza po twarzy więźnia, umazanej we krwi, która płynęła mu jeszcze z rozciętej wargi. Pani Michoux wydała okrzyk przerażenia, cofnęła się pod ścianę, jakby ujrzała coś odrażającego, a on bez słowa pozwolił się wyswobodzić z więzów, uniósł głowę i rozejrzał się powoli, bardzo powoli, wokół siebie.

— Tylko spokojnie, Leonie! — mruknął Maigret. Tamten drgnął, poszukał wzrokiem mówiącego.

— Dajcie mu krzesło i chusteczkę!

Maigret zauważył, że Goyard przesunął się w głąb celi, za panią Michoux, a doktor dygotał nie patrząc na nikogo. Porucznik żandarmerii, zakłopotany tym niecodziennym zebraniem, zastanawiał się, jaką rolę przyjdzie mu tu odegrać.

— Proszę zamknąć drzwi! Może wszyscy obecni zechcą usiąść. Czy pana brygadier, poruczniku, może nam służyć jako kancelista? Doskonale! Niech pan siądzie przy tym stoliku...

Proszę, panie merze, niech pan także spocznie...

Okrzyki ulicy ucichły, a jednak czuło się obecność tłumu, czuło się pulsujące podniecenie i gorączkowe wyczekiwanie.

Maigret chodząc tam i z powrotem nabił fajkę i zwrócił się do inspektora Leroy:

— Niech pan zatelefonuje najpierw do syndyka związku zawodowego marynarzy w Quimper i spyta go, co się wydarzyło jakieś cztery, pięć lat temu na statku „Piękna Emma”...

Gdy inspektor skierował się do drzwi, mer odkaszlnął i dał znak, że chce się odezwać.

— Mogę to panu powiedzieć, komisarzy... Wszyscy w tych stronach znają tę historię...

— Proszę mówić...

Włóczęga wstrząsnął się w swoim kącie jak zły pies. Emma, siedząca na samym brzegu krzesła, nie spuszczała go z oczu. Przypadek sprawił, że znalazła się tuż obok pani Michoux, której perfumy wypełniały celę słodkawym zapachem fiołków.

— Nigdy nie widziałem tego statku — zaczął mer głosem swobodnym, może nawet zbyt swobodnym. — Należał do niejakiego Le Glena czy Le Glérec, który uchodził za doskonałego marynarza, ale człowieka nieco zbyt porywczego. „Piękna Emma”, jak wszystkie kabotażowce w tych stronach, woziła przede wszystkim nowalijki do Anglii. Pewnego dnia zaczęto mówić o jakiejś dłuższej wyprawie... Przez dwa miesiące nie było żadnych wieści... W końcu okazało się, że „Piękna Emma” została poddana rewizji po zawinięciu do małego portu niedaleko Nowego Jorku. Załogę uwięziono, skonfiskowano ładunek kokainy. Statek, oczywiście, również... W tamtych czasach większość statków handlowych, szczególnie te, które woziły sól do Nowej Funlandii, trudniła się przemytem alkoholu...

— Dziękuję panu... Niech pan się nie rusza, Leonie. Proszę odpowiadać z miejsca. A przede wszystkim proszę mówić tylko to, o co pana pytam, nic poza tym. Rozumie pan? Po pierwsze, gdzie was zatrzymano?

Włóczęga otarł krew z policzka i odpowiedział chrapliwym głosem:

— W Rosporden... w magazynie kolejowym, gdzie czekaliśmy na zapadnięcie zmroku, by wślizgnąć się do jakiegoś pociągu...

— Ile pieniędzy miał pan przy sobie?

— Jedenaście franków, i to drobnymi — odpowiedział za niego porucznik.

Maigret spoznał na Emmę, której łyzy ściekały po policzkach, potem na skulonego olbrzyma. Wyczuł, że doktor, choć siedzi bez ruchu, jest niezwykle poruszony. Dał znak jednemu z policjantów, by na wszelki wypadek usiadł obok niego.

Brygadier zapisywał. Pióro skrzypiało metalicznie przesuwając się po papierze.

— Niech pan nam dokładnie opowie... Le Glérec... skąd się wziął ten ładunek kokainy...

Włóczęga spojrział w górę, twardo wbił wzrok w doktora. Zacisnął swoje wielkie pięści i wymruczał z gniewnym grymasem na twarzy:

— Pożyczyłem w banku pieniądze, żeby zbudować statek...

— Wiem! Dalej...

— To był kiepski rok... Frank znowu poszedł w górę... Anglicy kupowali mniej owoców. Zastanawiałem się, jak spłać odsetki. Chciałem zwrócić większą część sumy przed ślubem z Emmą. Wtedy przyszedł do mnie pewien dziennikarz. Znałem go, bo często myszkował po porcie.

Ku ogólnemu zdumieniu Ernest Michoux odsłonił twarz, bladą wprawdzie, ale o wiele spokojniejszą, niż się spodziewano. Wyjął z kieszeni notes i ołówek, zapisał kilka słów.

— To Jean Senderes zaproponował panu przemyt kokainy?

— Nie od razu! Powiedział tylko, że ma dla mnie interes. Wyznaczył mi spotkanie w kawiarni w Breście, gdzie zjawił się w towarzystwie dwu innych...

— Doktora Michoux i pana Le Pommeret?

— Właśnie!

Michoux znów coś zanotował ze wzgardliwym wyrazem twarzy. W pewnym momencie uśmiechnął się nawet ironicznie.

— Który z nich zawarł z panem transakcję?

Doktor czekał z ołówkiem w ręku.

— Żaden... Powiedzieli mi tylko, że w ciągu miesiąca, dwóch mógłbym zarobić dużą sumę... Godzinę później zjawił się jakiś Amerykanin... Nigdy się nie dowiedziałem, jak się nazywa... Widziano go tylko dwa razy... Na pewno znał się na żeglarstwie, bo wypytywał mnie, jaki mam statek, ilu ludzi będą potrzebowali, ile czasu zajmie zamontowanie pomocniczego silnika. Myślałem, że chodzi o przemysł alkoholu... Wszyscy to robili, nawet oficerowie liniowców pasażerskich... Parę dni później przyszedli robotnicy, żeby zamontować na statku silnik...

Mówił wolno, patrząc nieruchomo przed siebie. Powolne, kurczowe ruchy jego grubych palców były bardziej wymowne niż sama twarz.

— Dostarczono mi angielską mapę, na której zaznaczono trasy żaglowców i kierunki wiatrów na Atlantyku, bo nigdy tamtędy nie pływałem... Przez ostrożność wziąłem ze sobą tylko dwóch ludzi. Nie mówiłem o tej wyprawie nikomu prócz Emmy, która przyszła na molo w noc, gdy wypływaliśmy... Ci trzej mężczyźni też tam byli. Stali obok samochodu z wygaszonymi światłami... Towar załadowano po południu... Wtedy zacząłem się bać... Nie z powodu kontrabandy!... Tylko... Ja... Prawie nie chodziłem do szkoły... Wystarczyło mi, że potrafię używać kompasu i sondy... Nie boję się nikogo... Ale tam, na pełnym morzu... Stary kapitan starał się nauczyć mnie, jak posługiwać się sekstansem, żebym mógł określić położenie statku... Kupiłem tablice logarytmiczne i wszystko, co trzeba... Byłem pewny, że pogubię się w obliczeniach. Ale gdyby się udało, spłaciłbym statek i zostałoby mi jeszcze jakieś dwadzieścia tysięcy franków w kieszeni... Wściekle wiało w tamtą noc... Straciłem z oczu samochód i stojących obok mężczyzn... Potem Emmę, której postać odcinała się czarno na końcu mola... Dwa miesiące na morzu...

Michoux ciągle notował, ale unikał wzrokiem mówiącego.

— Powiedzieli mi, gdzie wylądować towar. W końcu dotarliśmy, Bóg wie jak, do małego portu, który nam wskazano... Nim zdążyliśmy zarzucić cumy, otoczyły nas trzy motorówki policyjne z karabinami maszynowymi na dziobie i kilku mężczyzn ze strzelbami. Skoczyli na pokład, wzięli nas na muszki wykrzykując coś po angielsku i walili nas kolbami, aż podnieśliśmy ręce do góry... Poszło to piorunem, nie rozumieliśmy, co się dzieje... Nie pamiętam, kto doprowadził statek do nabrzeża ani jak nas wsadzono na ciężarówkę. Godzinę później każdy z nas był już zamknięty w swojej stalowej klatce w więzieniu Sing-Sing... Czuliśmy się fatalnie... Nikt tam nie mówił po francusku... Więźniowie szydzili z nas i obrzucali wyzwiskami... Następnego dnia stanęliśmy przed sądem... Tam takie rzeczy załatwiają szybko... Adwokat, który, zdaje się, miał nas bronić, nie odezwał się do nas słowem... Dopiero potem powiedziano mi, że zostałem skazany na dwa lata ciężkich robót i sto tysięcy dolarów grzywny, statek skonfiskowano, no i resztę... Nic nie rozumiałem... Sto tysięcy dolarów!... Przysięgałem, że nie mam pieniędzy... Dowiedziałem się, że w takim razie dostanę jeszcze ileś tam lat więzienia... Zostałem w Sing-Singu... Moich kolegów zabrano chyba do innego więzienia, już nigdy ich nie spotkałem... Ogolono mi głowę... Zabrano mnie do roboty przy tłuczeniu kamieni na drodze... Kapelan chciał mi czytać Biblię... Nie wie pan, jak tam jest... Byli tam bogaci więźniowie, którzy spacerowali po mieście prawie co wieczór... A inni im usługiwali!... Zresztą, nieważne... Minał rok, gdy pewnego dnia spotkałem tamtego Amerykanina z Brestu. Przyszedł odwiedzić jakiegoś więźnia... Poznałem go... Zawołałem... Przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć, potem wybuchnął śmiechem i kazał mnie zaprowadzić do rozmównicy. Był bardzo serdeczny... Potraktował mnie jak starego kumpla...

Powiedział, że już wtedy był agentem prohibicji. Pracował przede wszystkim za granicą, w Anglii, Francji i Niemczech, skąd donosił policji amerykańskiej o odplywających konwojach... Ale jednocześnie kombinował trochę na własne konto... Tak właśnie było z tym ładunkiem kokainy... Miał na nim zarobić miliony, bo było tam tego dziesięć ton, po ileś tam franków za gram... Wszedł więc w spółkę z Francuzami, którzy mieli załatwić statek i część forsy... To właśnie ci trzej... Zyski mieli oczywiście podzielić między, siebie... Ale uwaga!... Nie powiedziałem jeszcze najlepszego... Tego samego dnia, kiedy załadowano statek, Amerykanin dostał wiadomość z kraju... Zmienił się szef urzędu do spraw prohibicji, wzmożono czujność. Kupcy w Ameryce czuli się niepewnie i towar mógł nie znaleźć nabywcy. Nowe zarządzenie obiecywało każdemu, kto przyczyni się do skonfiskowania towaru podlegającego prohibicji, nagrodę w wysokości jednej trzeciej jego wartości... Powiedziano mi to wszystko dopiero w więzieniu!... Dowiedziałem się, że w czasie gdy związałem cumy niepokojąc się, czy dotrzemy żywi na drugi brzeg Atlantyku, na nabrzeżu tuż obok moi trzej panowie rozmawiali właśnie z tym Amerykaninem... Postawić wszystko na jedną kartę?... Wiem, że to doktor obstawał przy denuncjacji... Odzyskaliby w ten sposób przynajmniej jedną trzecią kapitału nie narażając się na kłopoty. A poza tym Amerykanin umówił się z kumplem, że ten zatrzyma część przechwyconej kokainy. Takie sztuki! We łbie się nie mieści... „Piękna Emma” sunęła przez czarne wody basenu portowego... Ostatni raz spojrziałem na moją narzeczoną, pewny, że wrócę najpóźniej za parę miesięcy, żeby ją poślubić... A oni wiedzieli... Patrzyli, jak odpływam, wiedząc, że zostaniemy złapani, gdy tylko dotrzemy do celu! Pewno zresztą liczyli na to, że będziemy się bronić, że damy się zabić w walce, jak to się wtedy zdarzało niemal co dzień na wodach amerykańskich... Wiedzieli, że miałem tylko ten statek, którego jeszcze nie spłaciłem, i że zostanie on skonfiskowany!... Wiedzieli, że marzyłem tylko o tym, żeby się ożenić... I patrzyli, jak odpływamy!... Dowiedziałem się tego w Sing-Singu, gdzie przebywając wśród ludzkich bestii sam stałem się do nich podobny... Mogłem się o tym przekonać... Mój rozmówca śmiał się i wykrzykiwał klepiąc się dłońmi po udach: „Tych trzech to niezłe kanalie, co?”

Zapanowała nagle cisza jak makiem zasiał. A w tej ciszy wszyscy usłyszeli ze zdumieniem, jak ołówek doktora przesuwają się po białej kartce, którą Michoux właśnie przewrócił.

Maigret spojrział na litery „SS” wytatuowane na ramieniu olbrzymia i nagle zrozumiał: Sing-Sing!

— Chyba zostało mi wtedy jeszcze z dziesięć lat... W tamtym kraju nigdy nic nie wiadomo... Najmniejsze uchybienie przeciw regulaminowi i kara się wydłuża, a uderzenia pałek sypią się gęściej... Zebrałem ich tam całe setki... A ciosy współwięźniów!... I właśnie ten Amerykanin poczynił kroki, żeby mnie zwolniono... Może zmierziała go podłość moich, jak ich nazywał, przyjaciół?... Jedynym towarzyszem był mi pies. Zabrałem go na pokład, utonąłbym pewnego dnia, gdyby nie on. A tam, mimo całej ich dyscypliny, pozwolono mu mieszkać w więzieniu... To wszystko wygląda u nich zupełnie inaczej... Prawdziwe piekło! Pozwalają ci w niedzielę posłuchać muzyki, co nie przeszkadza im później pobić człowieka do krwi. W końcu nie wiedziałem już nawet, czy jeszcze jestem człowiekiem... Płakałem setki, tysiące razy... A kiedy pewnego ranka otworzyli przede mną bramę, dając ostatni cios kolbą w nerki, żeby mnie odesłać do normalnego życia, zemdlałem po prostu na chodniku... Nie potrafiłem żyć... Nic mi nie pozostało... Nie! Tylko jedno...

Jego rozcięta warga krwawiła, ale nie ocierał już krwi. Pani Michoux ukryła twarz w koronkowej chusteczce, roztaczając mdlący zapach perfum. A Maigret palił spokojnie, nie spuszczać wzroku z doktora, który skrzętnie notował.

— Pragnienie, żeby taki sam los zgotować tym, którzy przyczynili się do mego upadku! Żadnego zabijania!... O nie! Łatwo jest umierać... W Sing-Singu próbowałem tego kilkanaście

razy, bezskutecznie... Odmawiałem jedzenia, karmiono mnie wtedy sztucznie. Niech poznają, co znaczy więzienie! Najlepiej w Ameryce, ale wiedziałem, że to niemożliwe... Włóczyłem się po Brooklynie, chwytając się różnych zajęć, aż zarobiłem na powrót. Zapłaciłem nawet za psa... Przez cały czas nie miałem żadnych wiadomości o Emmie... Nie zająłem nawet do Quimper, gdzie mogliby mnie rozpoznać mimo mojej zakazanej gęby. Wreszcie dowiedziałem się, że jest kelnerką, a czasami także kochanką Michoux... Może i innych?... Kelnerka, wiadomo... Nielatwa to sprawa wysłać tych szubrawców za kratki... Ale zawzięłem się! Tylko tego chciałem!... Mieszkałem razem z psem na wyciągniętej na brzeg barce, potem w wieży obserwacyjnej na przylądku Cabelou... Zacząłem się pokazywać Michoux... Tylko pokazywać!... Moją prostacką gębę, zezwierzęconą postać!... Rozumie pan? Chciałem, żeby zaczął się bać... Żeby strzelił do mnie ze strachu. Może bym ocalał... A potem? Dla niego ciężkie roboty! Kopniaki!... Ciosy kolbą... Odrażające draby, silne byki, które każą sobie usługiwać... Włóczyłem się wokół jego willi... Stawałem mu na drodze... Przez trzy dni!... Cztery dni!... Poznał mnie... Rzadziej wychodził z domu... Ci tutaj... przez cały ten czas ich życie nie zmieniło się. Popijali swoje aperitify, wszyscy trzej!... Ludzie kłaniali im się!... Jedzenie kradłem ze straganów... Chciałem skończyć z tym jak najszybciej...

Odezwał się jakiś głos:

— Przepraszam, komisarzy! Czy to przesłuchanie bez udziału sędziego śledczego ma moc prawną?

To Michoux! Błady jak ściana, miał ściągnięte rysy, zbielełe wargi... Ale jego ostry głos brzmiał niemal groźnie!

Jedno spojrzenie Maigreta wystarczyło, by policjant ze straży znalazł się między doktorem a włóczęgą. W samą porę! Leon Le Glérec wstawał powoli, przyciągnięty tym głosem, zaciskając ciężkie jak maczugi pięści.

— Siadać! Niech pan siądzie, Leonie!...

Gdy olbrzym usłyszał, dysząc chrapliwie, komisarz powiedział wytrząsając popiół z fajki:

— Teraz kolej na mnie!

## XI STRACH

Mówił niskim głosem, szybko i wyraźnie, co kontrastowało z pełnym pasji sposobem wyrażania się marynarza, który spoglądał teraz na niego spođe łba.

— Najpierw, proszę państwa, parę słów o Emmie... Dowiaduje się ona, że jej narzeczony został aresztowany... Potem nie dostaje już żadnych wieści... Pewnego dnia traci pracę z błahego powodu i zostaje kelnerką w hotelu „Amiral”. To biedna dziewczyna, sierota... Mężczyźni flirtują z nią, jak flirtują bogaci goście ze służącą... Mijają dwa, trzy lata... Ona nie wie, że Michoux jest winny. Pewnego wieczoru odwiedza go w pokoju. A czas mija, życie upływa. Michoux ma inne kochanki. Od czasu do czasu dla fantazji spędza noc w hotelu. Albo, gdy matki nie ma w domu, zaprasza Emmę do siebie. Bezbarwne miłostki bez miłości... Życie Emmy też jest bezbarwne... nie jest bohaterką... W kasetce ciągle trzyma list i fotografię, ale to tylko dawne marzenia, które blakną z każdym dniem... nie wie, że Leon wrócił... Nie poznaje psa, który się koło niej płacze. Gdy statek wypływał, szczeniak miał cztery miesiące. Pewnej nocy Michoux dyktuje jej list, nie mówiąc, kto jest adresem. Chodzi o wyznaczenie komuś spotkania w nie zamieszkanym domu o jedenastej wieczorem. Ona pisze... Michoux boi się! Czuje, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Chce unieszkodliwić przeciwnika, który krąży wokół... Ale jest tchórzem! Sam mi to wykrzyczał! Wysyła list do swojej przyszłej ofiary przywiązując go sznurkiem do szyi psa i zaczają się za drzwiami w korytarzu. Czy Leon nie będzie niczego podejrzewać? Czy zechce mimo wszystko zobaczyć swoją dawną narzeczoną? W momencie gdy zapuka do drzwi, wystarczy wystrzelić przez skrzynkę na listy i umknąć w zaułek... A zbrodnia pozostanie tym bardziej tajemnicza, że nikt nie rozpozna ofiary. Ale Leon coś podejrzewa... Krąży może po rynku... Może jednak się zdecydować, żeby pójść na spotkanie? Traf chce, że podchmielony Mostaguen właśnie wyszedł z kawiarni i zatrzymał się na progu, żeby zapalić cygaro. Niezbyt dobrze trzyma się na nogach... Uderza się o drzwi... To umówiony znak... Kula trafia go prosto w brzuch... Mamy pierwszą sprawę. Michoux chybił celu... Wraca do domu. Goyard i Le Pommeret wiedzą o wszystkim i także pragnęliby pozbyć się człowieka, który im zagraża. Są przerażeni. Emma zrozumiała, w jaką grę dała się wciągnąć. Może spotkała Leona? A może ruszyła w końcu głową i rozpoznała złotego psa?... Dzień później jestem na miejscu... Spotykam trzech mężczyzn. Czuję, że są w panice... Spodziewają się nowej tragedii... Skąd oczekują uderzenia? Chcą się upewnić, czy mam rację... To ja wsypałem truciznę do butelki z aperitifem, tak by można ją było łatwo zauważyć. W każdej chwili gotów jestem przeszkodzić, gdyby ktoś chciał go wypić... Ale nie! Michoux czuwa! Nie ufa nikomu i niczemu, boi się ludzi na ulicy i trunków, które pije. Nie śmie nawet wyjść z hotelu...

Emma zamarła. W swym osłupieniu robiła przejmujące wrażenie. Michoux uniósł na chwilę głowę, by spojrzeć Maigretowi w oczy. A potem jął gorączkowo notować.

— Oto i druga tragedia, panie merze! Członkowie naszego trio nadal żyją i nadal się boją... Goyard jest najbardziej wrażliwy i chyba najmniej podły z nich. Wypadek z trucizną wyprowadza go całkowicie z równowagi... czuje, że pewnego dnia i on zostanie wysłany na tamten świat. Obawia się, że mogą wpaść na ich trop... Decyduje się uciec... Uciec nie pozostawiając śladów... Uciec tak, by nikt nie mógł podejrzewać ucieczki... Pozoruje napad sugerując, że go zabito, a ciało wrzucono do basenu portowego... Ale przedtem ciekawość każe mu zajrzeć do willi doktora. Może szuka Leona, by zaproponować mu ugodę? Znajduje tam jego ogromne ślady. Wie, że wkrótce i ja je odnajdę... Jest przecież dziennikarzem! Świadom jest tego, jak łatwo pokierować

tłumem. Wie, że tak długo, jak Leon żyje, nigdzie nie będzie bezpieczny... Wpada na pomysł prawdziwie genialny. Wysłała do „Le Phare de Brest” artykuł pisany lewą ręką... Pisz o żółtym psie, o włóczędzie... Wszystko skomponowane tak, by zasiać w Concarneau panikę. W ten sposób stawało się bardzo prawdopodobne, że ktoś, kto dostrzeże mężczyznę z wielkimi stopami, pošle mu solidną porcję ołowiu... I niemal tak się stało! Najpierw strzelono do psa... Ludzie byli gotowi strzelić i do człowieka. Przerażony tłum zdolny jest do wszystkiego... W niedzielę panika naprawdę zapanowała w mieście... Michoux nie wychodzi z hotelu... Jest chory ze strachu. Ale zdecydowany jest bronić się aż do końca, wszelkimi środkami. Zostawiam go z Le Pommeretem... Nie wiem, co zaszło między nimi... Goyard umknął... Le Pommeret, należący do jednej z najbardziej szanowanych rodzin w okolicy, był pewnie skłonny zawiadomić policję, raczej wyznać wszystko, niż żyć w tym koszmarze... Co mu groziło? Grzywna!... Krótkoterminowe więzienie!... Tylko tyle! Główne przestępstwo zostało dokonane w Ameryce... Ale Michoux, który miał na sumieniu Mostaguena i chciał za wszelką cenę wypłatać się z tego na własną rękę, czując, że tamten mięknie, nie zawahał się go otruć... Była tam i Emma. Czyż to nie na nią padnie podejrzenie?... Chciałbym więcej powiedzieć o strachu, bo to właśnie strach był przyczyną całej tragedii. Michoux boi się. Chce zwyciężyć nie tyle swego wroga, co swój strach... Zna Leona Le Glérec... Wie, że on nie pozwoli się zatrzymać bez walki... Liczy na to, że kula wystrzelona przez żandarma albo jakiegoś przerażonego mieszkańca załatwi sprawę... Nie rusza się z hotelu... Przywożę rannego zdychającego psa... Chcę wiedzieć, czy włóczęga po niego przyjdzie. Przychodzi... Nie widziano zwierzęcia od tej pory. Wnioskuje więc, że już nie żyje...

Z gardła Leona wydobył się krótki dźwięk:

— Tak...

— Pochował go pan?

— Na Cabélou... Postawiłem mały krzyżyk z dwóch sosnowych gałęzi...

— Policja znajduje Leona Le Glérec. Ten ucieka, bo jego jedynym celem jest sprowokowanie Michoux. Sam to powiedział: chce go zobaczyć w więzieniu. Moim obowiązkiem jest zapobiec nowej tragedii, dlatego zamykam Michoux, upewniając go, że chodzi o jego bezpieczeństwo... I nie jest to kłamstwo. Ale jednocześnie powstrzymuje go to od popełnienia nowych zbrodni... Bo jest u kresu... Zdolny do wszystkiego... Czuje się osaczony... Co nie przeszkadza mu zagrać przede mną komedii. Opowiada o swoim słabym zdrowiu, wymyśla na poczekaniu historyjkę o dawnej przepowiedni, nadając swemu tchórzostwu charakter mistyczny. Zależy mu tylko na jednym: by ktoś zastrzelił jego wroga. Wie, że wszystkim, co się dotąd wydarzyło, można obarczyć jego osobę... Sam w swojej celi łamie sobie głowę nad wynalezieniem sposobu, by definitywnie odwrócić od siebie podejrzenia... Gdyby teraz, gdy jest pod kluczem, popełniono jakąś nową zbrodnię, miałby niezbite alibi... Odwiedza go matka. Ona wie o wszystkim. Musi działać tak, by nikt jej nie złapał na gorącym uczynku ani nie podejrzewał. Musi go ocalić! Pójdzie na kolację do mera, potem pozwoli się odwieźć do swojej willi, gdzie zostawi na cały wieczór zapalone światło... Wróci piechotą do miasta... Wszyscy już śpią? Tak, ale w kawiarni „Amiral” pali się jeszcze światło! Wystarczy, że zaczeka, aż ktoś wyjdzie, przyczai się za rogiem... Będzie celować w nogę, by ofiara nie mogła biec... Ta zbrodnia, zupełnie niepotrzebna, byłaby wystarczającym powodem do oskarżenia Michoux, gdyby nie było innych. Rano, gdy tu przychodzę, ma gorączkę... Nie wie, że Goyarda zatrzymano w Paryżu... A przede wszystkim nie wie, że w chwili gdy strzelano do celnika, obserwowałem włóczęgę... Bo Leon, ścigany przez policję i żandarmerię, skrył się w budynku naprzeciw hotelu. Pragnie jak najszybciej dokończyć dzieła... Chce być blisko Michoux... Śpi w jednym z pokoi pustego domu. Emma dostrzega go przez okno... Przychodzi do niego... Krzyczy, że jest niewinna... Pada przed nim na kolana... Pierwszy raz po powrocie spotyka ją twarzą w twarz, znowu słyszy jej głos... Należała do innego... Do

innych... Ale przez co już nie przeszedł?... Serce mu topnieje... Chwyta ją brutalnie, jakby chciał ją zmiążdżyć, ale wpija się tylko ustami w jej wargi... Nie jest już sam na świecie, opanowany bez reszty przez jeden cel, jedną myśl... Emma mówi mu przez łzy o nowym życiu, o szczęściu... Odchodzą oboje. W nocy, bez grosza przy duszy... Pojadą, gdzie ich oczy poniosą... Pozostawiają Michoux jego przerażeniu... Spróbują gdzieś być znowu szczęśliwi...

Maigret nabijał powoli fajkę, spoglądając po kolei na wszystkich obecnych.

— Wybacz mi pan, panie merze, że nie informowałem pana o przebiegu śledztwa... Ale kiedy tu przyjechałem, miałem pewność, że to dopiero początek tragedii... Aby poznać wszystkie więzi łączące jej aktorów, musiałem pozwolić, by rozwijała się dalej, starając się w miarę możliwości zapobiec nowym morderstwom. Le Pommeret nie żyje, otruty przez współnika. Wszystko, co o nim wiem, przekonuje mnie jednak, że gdyby go aresztowano, sam popełniłby samobójstwo. Celnik jest ranny w nogę, za tydzień nie będzie po tym śladu... Za to mogę teraz podpisać nakaz aresztowania Ernesta Michoux pod zarzutem próby zabójstwa i ranienia pana Mostaguena oraz otrucia swego przyjaciela pana Le Pommeret. Drugi nakaz dla pani Michoux za nocny napad... Obawiam się, że Jean Goyard, zwany Servières'em, może być pociągnięty do odpowiedzialności tylko za obrazę urzędu, jakiej się dopuścił odgrywając swoją komedię...

Jedyny komiczny incydent: westchnienie! Radosne westchnienie ulgi, które wyrwało się z piersi tłustego dziennikarza. Miał nawet tyle tupetu, by wybelkotać:

— W takim razie, przypuszczam, że mogę zostać zwolniony za kaucją? Jestem gotów wpłacić pięćdziesiąt tysięcy franków...

— O tym zadecyduje prokuratura, panie Goyard...

Pani Michoux siedziała załamana na krześle, ale jej syn wykazywał więcej energii.

— Nie ma pan nic do dodania? — zapytał Maigret.

— Przepraszam, będę odpowiadał w obecności mojego adwokata. Na razie pozwolę sobie wyrazić zastrzeżenia co do ważności prawnej tej konfrontacji...

Wyciągnął swą chudą jak u koguta szyję, na której wyraźnie odznaczała się żółta, ruchliwa grdyka. Jego nos wydawał się jeszcze bardziej haczykowany niż zwykle. Ciągle trzymał notes, ze swoimi zapiskami.

— A tych dwoje? — mruknął mer wstając z miejsca.

— Nie mogę przeciw nim wysunąć żadnych zarzutów. Leon Le Glérec wyznał, że miał jedynie zamiar sprowokować Michoux, by ten do niego strzelił. Pokazywał mu się tylko. Żaden paragraf kodeksu...

— Chyba że za włóczęgostwo... — wtrącił porucznik żandarmerii.

Maigret wzruszył ramionami w taki sposób, że tamten zaczerwienił się.

\*

Choć dawno minęła pora obiadu, tłum ciągle stał przy bramie. Mer zgodził się więc użyć swego samochodu, w którym firanki prawie całkowicie zasłaniały wnętrze.

Emma wsiadła pierwsza, potem Leon Le Glérec, usadowił się niezgrabnie na rozkładanym bocznym siedzeniu, ostatni wsiadł Maigret zajmując miejsce w głębi, obok dziewczyny.

Szybko przejechali przez tłum. Parę minut później pędzili w stronę Quimperle. Leon zapytał głosem pełnym zażenowania, spoglądając niepewnie na komisarza:

— Dlaczego pan to powiedział?

— Co?

— Że pan wsypał truciznę do butelki.

Emma była blada jak ściana. Nie śmiała oprzeć się o poduszki, chyba pierwszy raz w życiu

jechała limuzyną.

— Miałem taki kaprys! — mruknął Maigret przez zęby zaciśnięte na ustniku fajki.

A dziewczyna wyrzuciła z siebie rozpaczliwie:

— Przysięgam, panie komisarzu, sama nie wiedziałam, co robię!... Michoux kazał mi napisać ten list... W końcu poznałam psa... W niedzielę rano zobaczyłam Leona... Wtedy zrozumiałam... Chciałam z nim pomówić, ale odszedł, splunąwszy na ziemię, nawet na mnie nie patrząc... Chciałam go pomścić. Chciałam... Już sama nie wiem! Byłam jak oszalała... Wiedziałam, że chcę go zabić... Ciągle go kochałam... Przez cały dzień myśli kłębiły mi się w głowie... W południe, podczas obiadu, pobiegłam do willi Michoux po truciznę... Nie wiedziałam, którą wybrać... Pokazywał mi przedtem fiołki, mówiąc, że wystarczy tego, by otruć całe Concarneau... Ale przysięgam, nie pozwoliłabym panu wypić...

Zanosila się płaczem, Leon poklepywał ją niezgrabnie po kolanie chcąc ją uspokoić.

— Nigdy się panu nie odwdzięczę, panie komisarzu — wołała przez łzy. — To, co pan zrobił... to... brak mi słów... to wprost nadzwyczajne!

Maigret spoglądał to na jedno, to na drugie. Patrzył na jego rozciętą wargę, krótko ostrzyżone włosy i twarz dzikiej bestii, która pragnie się uczłowieczyć. Patrzył na jej zabiedzoną twarz, wyblakłą w mrocznym akwarium kawiarni „Amiral”.

— Co zamierzacie robić!

— Nie wiemy jeszcze... Wyjechać stąd... Może do Hawru?... Nauczyłem się zarabiać na życie na nabrzeżach w Nowym Jorku...

— Oddali wam dwanaście franków? Leon zaczerwienił się, nie odpowiedział.

— Ile kosztuje bilet do Hawru?

— Nie, panie komisarzu, niech pan tego nie robi... Bo wtedy... Nie wiedzielibyśmy, jak... Rozumie pan?

Maigret stuknął palcem w szybę, bo przejeżdżali właśnie koło małej stacyjki. Wyjął z kieszeni dwa banknoty stufrankowe.

— Proszę to wziąć. Wliczę to do wydatków służbowych...

Wypchnął ich niemal z samochodu, zamknął drzwiczki, gdy usiłowali dziękować.

— Do Concarneau! Szybko!...

Gdy został sam w samochodzie, wzruszył parę razy ramionami jak ktoś, kto ma wielką ochotę śmiać się z samego siebie.

Proces trwał rok. W ciągu tego roku doktor Michoux stawał przed sędzią śledczym nawet po pięć razy w tygodniu, trzymając pod pachą safianową teczkę pełną dokumentów.

I za każdym razem wynajdywał jakieś nowe kruczki prawne.

Każdy nowy dokument był powodem kontrowersji, dochodzeń i kontrdochodzeń.

Michoux był coraz chudszy, bledszy, coraz bardziej cierpiący, ale nie zaprzestawał walki.

— Niech pan pozwoli człowiekowi, któremu zostało nie więcej niż trzy miesiące życia...

Był to jego ulubiony zwrot. Bronił się zaciekle stosując podstępne uniki i nieoczekiwane riposty. W końcu znalazł adwokata jeszcze bardziej zajadłego niż on sam, który go w tym wyręczał.

Skazany przez sąd przysięgłych w Finistère na dwadzieścia lat ciężkich robót, przez pół roku oczekiwał na wynik apelacji.

Na fotografii, która ukazała się we wszystkich dziennikach zaledwie miesiąc temu, można zobaczyć, jak, zawsze tak samo chudy i pożółkły, z haczykowatym nosem, furażerką na głowie i workiem zarzuconym na plecy, wsiada na wyspie Re na statek „La-Martiniere”, który miał zawieźć stu osiemdziesięciu skazańców do Cayenne w Gujanie Francuskiej.

W Paryżu pani Michoux, która odbyła już karę trzymiesięcznego więzienia, robi szum w sferach politycznych. Zamierza doprowadzić do rewizji procesu.

Ma już po swojej stronie dwa dzienniki.

Leon Le Glérec łowi śledzie na Morzu Północnym, na pokładzie „La Francette”. Jego żona spodziewa się dziecka.

*Pierwsze wydanie francuskie 1931 r.*